Nr. 53. Lwów. — Wtorek dnia 5 marca Rok 1889.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.
Cena prenumeraty:
We Lwowie bez dostawy: Miesięcznie zł. 75 ct. Kwartalnie 2 „ 25 „ Półrocznie 4 „ 50 „ Rocznie 9 „ — „
Na prowincji z przesyłką pocztową: Miesięcznie 1 zł. Kwartalnie 3 „ Półrocznie 6 „ Rocznie 12 „
Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.
Numer kosztuje 4 centy.
Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9. Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Innej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.
Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.
Miejscową prenumeratę we Lwowie przyjmują: Trafika J. Wodnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany). Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.
Rękopismów redakcja nie zwraca.

Dziś: Euzebiusza Fok. Jutro: Popielec. Fryder. | Adres Redakcji i Administracji ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 6 m. 42 Zachód „ 5 „ 44 | Długość dnia g. 11 m. 2 Przybyło dnia 5 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 4 marca.

Projekt do ustawy o spadkach włościańskich, który w ubiegłej sesji wywołał kilkudniowe gorące rozprawy w Izbie posłów, uchwaliła po dwudniowej dyskusji Izba panów.

Do zwalczenia tej ustawy wysłała centralistyczna lewica dwóch najpoważniejszych swoich szermierzy: pp. Hasnera i Schmerlinga. W obronie jej stanęli z autonomicznego stronnictwa hr. Zedwitz i hr. Chorinsky.

Punktem ciężkości rozprawy był § 16 projektu, paragraf, który zgodnie z lewicą Izby posłów [illegible] opozycji z Izby panów za zmianę ustaw zasadniczych państwa i dla przyjęcia tego postanowienia ustawy żądali ⅔ głosów większości.

Był to manewr taktyczno-parlamentarny celem obalenia całego projektu, obrażającego liberalne zasady ekonomiczne. Zamiar ten przejrzeli z obu przemówień przewódzców opozycji, a już zupełnie stał się wyraźnym w mowie hr. Hue'go, który jednak był na tyle przezornym, iż z odrzucenia § 16 stwarzał jedynie odroczenie całej sprawy ad calendas graecas, bo dokąd ankieta, złożyć się mająca z włościan, nie rzeknie *in merito* o potrzebie i korzyściach całej ustawy.

Uciążliwego zdania podjął się weteran centralizmu dr. Schmerling. Wziął on na swoje wiekiem pochylone barki krytykę szczegółów projektu i wykazanie, iż jest po części praktycznie niewykonalny, po części zaś niejasny i niezgodny z ogólnym kodeksem cywilnym.

Krytykę tę najwyższego sędziego monarchji obaliły wyczerpujące wyjaśnienia sprawozdawcy i p. ministra rolnictwa.

Wynik głosowania przyznał słuszność tym wywodom. Rezultat ten daje sankcję zapatrywaniom, iż bezgraniczna swoboda w sprawach ekonomicznych graniczy w regule z niewolą i że na tem polu wolność wyradza się w wyuzdaną swawolę, a ona podkopuje i niszczy byt materjalny szerokich warstw społeczeństwa — tych warstw, których przeznaczeniem tworzyć podwaliny organizmu państwowego.

Ustawą o spadkach włościańskich zrobiono trudny początek w reformie rolniczych stosunków w Austrji, tak niezwłocznie i tak bardzo wymagających poprawy.

Krew wolnych kozaków Aszynowa cieniem padła między Rosją a Francją. Rządy są wprawdzie w przyjaźni, petersburski nic nie ma do zarzucenia paryzkiemu, ale opinja rosyjska odwróciła się od Francji i gniew swój objawia w dziennikach tak cierpko i tak złośliwemi uwagami odzywa się o „republikańskim narodzie bez Boga i honoru", że dygnitarzom rosyjskim nakazano z urzędu manifestacyjnie okazać współczucie i ubolewanie nad nietaktem prasy francuskiemu ambasadorowi Laboulaye'owi. Wszyscy tedy panowie petersburskiego świata złożyli wizyty ambasadorowi, o czem *Prawitielstwiennyj Wiestnik* natychmiast doniósł, dając tem niejako wskazówkę publice, jak zdaniem rządu powinna się zachowywać. Ale i to nie poskutkowało. *Grażdanin* zauważył, że z wyższych względów rząd może kultywować przyjaźń francuską, ale „szczera i szlachetna natura rosyjska" nie może bez odrazy myśleć o mordercach bezbronnych ludzi. Pod szyderskim tytułem „*Vive la France!*" woła *Nowoje Wremia*: „Krew niewinnie przelana spadnie na głowę Francji. Dla Francuzów, którzy w latach 1793 i 1794 spokojnie wyrznęli kwiat swej inteligencji, zabicie kilku ludzi nie ma zapewne żadnego znaczenia. Lecz Rosjanie z większem poszanowaniem traktują życie człowieka. (No, być może, że z większem, jeśli ów człowiek nie jest Polakiem lub unitą podlaskim! — przyp. red. *Przegl.*) Studwudziesto (?) miljonowe państwo ma prawo domagać się, aby bez potrzeby nie spadł ani jeden włos z głowy Rosjanina. Jesteśmy środkami bogatsi od starożytnego Rzymu — stać nas na zmuszenie wszystkich do szanowania naszych obywateli" i t. d. *Świet* pisze: „Coraz wyraźniej w całej pełni występuje brutalny, niesłuszny i niczem nieuzasadniony czyn francuskiego admirała, który całkiem niepotrzebnie rozbił garstkę „ludzi ruskich" i dopuścił się przelewu krwi. Oczywiście, między rządami nie może nastąpić rozdwojenie, ale nam niepodobna zdobyć się na usprawiedliwienie aktu okrucieństwa, zwłaszcza popełnionego przez sam rząd paryski. Władze francuskie skryły się nie bardzo..." i t. d. Oczywiście, niemieckie dzienniki wychodzące w Petersburgu, dolewają oliwy do ognia i zacierają ręce.

Trudno Rosjanom odmówić słuszności. Mieli oni prawo czego innego spodziewać się od Floqueta, który zanim stanął u steru udał się do barona Mohrenheima po rozgrzeszenie za dawny okrzyk: „Niech żyje Polska!" Wyparł się tego okrzyku, oświadczył, że to nieprawda, jakoby on kiedykolwiek wymówił te wyrazy, pocałował rosyjską rękę i stanął u steru. Ale znać jakieś fatum go prześladowało. Minęło już w rzeczypospolitej Francji 20 gabinetów, a żaden Rosji się nie narażał, aż dopiero dwudziesty pierwszy, właśnie flocquetowski, w wiljię upadku, przelał krew rosyjską — rzeczywiście niepotrzebnie, bo można było Aszynowa z jego towarzyszami należycie ukarać, bez tego strzelania. Cóż znaczyła ta garstka w obec regularnej piechoty wysadzonej z okrętu i w obec wszystkich dział ryczących z fregaty?! Ale Floquetowi chciało się dosadnie pokazać rzymskiemu dworowi, że on nie przestaje być przyjacielem i nie myśli szkodzić włoskiej polityce na Czerwonem morzu. Wiemy, że Aszynów pomagał abisyńskiemu królikowi w wojnie z Włochami o Massawę; wiemy, że gdy ten kozak znów się pojawił z liczniejszą drużyną, zatrwożyli się Włosi i na przeszpiegi wysłali za Aszynowem wojenny statek z Adenu. Otóż rozlaniem krwi kozaczej postanowił p. Floquet usunąć podejrzliwość włoską. To mu się udało: p. Crispi dwa razy oświadczył w parlamencie, że z Francją są bardzo dobre stosunki, lecz udało mu się to kosztem rosyjskich sympatyj dla Francji, a tych, co można przewidzieć, nie zdołały wydobyć całe frazesa Spullera, ani uchwała parlamentu, wyrażająca sympatję dla Rosji, ani pokorny i przepraszający ton komunikatu w agencji Havasa. Bo rosyjska publiczność dobrze zrozumiała, iż wyrznięcie kozaków nie było nieszczęśliwym wypadkiem, nie było nieostrożnością, lecz owszem było zręcznem wyzyskaniem sposobności do pozyskania włoskiego uśmiechu. Trudno o to się nie obrazić.

Gabinet Tirarda, w którym rej wodzi Constans, wnet zrobił drugą niezręczność: zaatakował Ligę patrjotyczną i aresztował jej szefów za wydanie odezwy, protestującej przeciw rozlewowi krwi północnych druhów. P. Constans jest energicznym ministrem spraw wewnętrznych lecz widocznie słabym politykiem. Patrjotyczna Liga, mająca na swe rozkazy stutysięczną armję stowarzyszeń strzeleckich i gimnastycznych, a pracująca gorliwie dla Boulangera, była niezawodnie bardzo niebezpieczna i każdy rząd powinien był dążyć do jej rozwiązania. Ależ można było przyczepić się do jakiegoś innego czynu Ligi, nigdy zaś do owej odezwy, wyrażającej gorące uczucia dla „północnego przyjaciela, jedynego druha." Była to niezręczność tem większa, że się bezpośrednio łączy z rzezią wolnych kozaków. Rząd petersburski wchodząc, w ciężkie położenie gabinetu Tirarda i uwzględniając przyszłe ewentualności, zachowa najlepsze stosunki z Francją, ale publiczność rosyjska, zwłaszcza panslawistyczna, niepotrzebująca oglądać się na delikatne dyplomatyczne względy, już się chyba nie nawróci do uwielbiania „zachodniego druha." A wiemy jak wiele dziś znaczy opinja publiczna, nawet w despotycznej Rosji. Nie minie przeto bez politycznego śladu żałosny i komiczny zarazem koniec wyprawy Aszynowa.

Ligistów Déroulède'a, Laisanta i Laguerre'a uszanowano, wrócono im osobistą wolność, ale papiery Ligi zabrano, lokal jej opieczętowano, stowarzyszenie rozwiązano. P. Constans dalej się sroży jak gromowładny Jowisz. Wszystkim urzędnikom zapowiedział, że rozpędzi ich na cztery wiatry za politykowanie i za cień nieposłuszeństwa. Kilkunastu prefektów i innych wysokich urzędników już zdymisjonował; codzień wydaje okólniki coraz ostrzejsze. Wszystko to godne zupełnej i szczerej pochwały, lecz czy nie za późno wzięto się do tego? Wszakże już się we Francji całkiem odzwyczajono od władzy i objawy jej biorą się teraz za czyny terroryzmu, za krzywdę wołającą o bunt. Co prawda, Ligę rozwiązano, a ona pomimo tego ogłosiła, że będzie istniała. Redakcja dziennika *La France* ofiarowała swój lokal Lidze i ogłosiła, że tacy Ligiści jak jenerał Lecointe, deputowani Mézières i Faure, dyrektor poczty Fribourg, radzca wyższego sądu Barbaroux, dyrektor w departamencie oświaty Buisson, dyrektor teatru „Comédie Française" Claretie, poeta Bornier i wiele innych wybitnych osób wyznaje zasady i cele Ligi i nadal duchem do niej należy, chociaż Liga nie istnieje.

Wszystkich przecież nie wypędzi p. Constans, ani ich na proszek nie zetrze. Skoro tak się anarchiczność rozpanoszyła we Francji, to prędzej energja Constansa pogrzebie jego samego, niż ład zaprowadzi w kraju.

Z szczerą radością przeczytał cały kraj zapowiedź p. Ministra skarbu, że na sesji jesiennej wniesie do Rady państwa przedłożenie w sprawie indemnizacyjnej.

Naszem bowiem zdaniem ze wszystkich teraźniejszych postulatów Galicji, najważniejszym i najdonioślejszym pod względem swych następstw jest kwestja indemnizacyjna. Nie chcemy przez to bynajmniej obniżać znaczenia innych naszych uprawnionych żądań, jak np. reformy sądownictwa, regulacji rzek, reorganizacji szkół średnich etc.; ale na chwilę nie opuszczamy z oka tych spraw, ale z tem wszystkiem, stawiamy na ich czele układ indemnizacyjny z tego powodu, że wprowadzenie go w życie rozwiąże nam ręce w wewnętrznym naszym budżecie krajowym.

Każdy, kto pilnie śledził debaty sejmowe w ostatnich kilku latach i kto studjował nasz budżet, przyjść musiał do przekonania, że coraz większe w ułożeniu jego ma Wydział krajowy trudności. Albowiem potrzeby rosną i w niektórych działach naszej domowej gospodarki bardzo nawet szybko, jak np. na polu szkolnictwa; w innych, jak np. na polu sanitarnem, rosłyby także, gdyby nie energiczne starania, usiłujące je skrępować jak można najmocniej, chociaż niezawsze z rzeczywistym pożytkiem społeczeństwa. Tymczasem z drugiej strony ani niepodobna otworzyć nowych źródeł dochodu dla kasy krajowej, ani też iść dalej w podwyższaniu dodatków do podatków bezpośrednich.

Cóż więc Sejm robił i jakie z tej trudnej sytuacji obierał wyjście? Oto jedne potrzeby stale — chociaż z bólem serca — ignorował, dla innych zaś, które za nadto były gwałtowne, wynajdywał pokrycie bądź w zaciąganiu pożyczek, bądź w podnoszeniu dodatków o centa, najwyżej o dwa centy. Ale po każdem — chociaż tak małem — podniesieniu dodatków powstawał wrzask w kraju — wrzask bardzo usprawiedliwiony, bo uginamy się już pod ciężarami podatków i dodatków — a wtedy Sejm na następnej sesji nie miał już serca do podnoszenia dodatków i uciekał się do pożyczek. I tak mazaliśmy naszę hypotekę krajową, wkraczając, jak to świetnie swojego czasu wykazywał ś p. Zyblikiewicz, w coraz większy odmęt budżetowy.

A winą tego wszystkiego był dodatek indemnizacyjny. Gdyby nie on i gdyby nie to, że jest on tak wysoki, moglibyśmy snadno podnieść dodatki krajowe bez wywołania skarg w kraju. Owóż zawarty z rządem układ indemnizacyjny otwiera nam właśnie drogę do tego. Po pierwsze bowiem zdejmuje z kraju ciężar długu siedmdziesięciu kilku miljonów, najniesłuszniej nad nami wiszący. Po drugie zaś pozwala nam pozostałą jeszcze kwotę indemnizacji rozłożyć na dłuższy okres spłaty. Jeżeli tedy zamiast w latach kilkunastu spłacić tę indemnizację, rozłożymy ją na lat kilkadziesiąt, natenczas będziemy mogli dodatek indemnizacyjny obniżyć o jednę trzecią lub nawet o połowę teraźniejszej jego wysokości a równocześnie o całą tę kwotę, lub prawie o całą podwyższyć dodatek krajowy i postawić nasz budżet na tej wysokości, aby nie potrzeba było uciekać się ani do pożyczek, ani do umyślnego zamykania oczu na gwałtowne potrzeby kraju.

Dla wyjaśnienia weźmy parę cyfr. Przypuśćmy — a przypuszczenie to jest zupełnie uprawnione — że zdołamy niespłaconą jeszcze kwotę indemnizacji rozłożyć na taki okres czasu, iż będziemy mogli dodatek indemnizacyjny obniżyć o trzecią część, to jest o 10 centów. Ekonomiści twierdzą, że nie jest rozsądną rzeczą znosić podatek, do którego już ludność przywykła, bo w obec tego, że potrzeby wszystkich społeczeństw rosną, wypadnie pierwej czy później wrócić znowu do tego podatku, a więc wywołać nowe żale, skargi, krzyki, dawać agitatorom wszelkiego rodzaju i gatunku nowy temat do jątrzeń i wichrzeń. Lepiej tedy — powiadają oni — pobierać dalej ten podatek i dochody z niego obracać na cele produkcyjne, na takie, które społeczeństwo całe wzbogacają o wiele skuteczniej i szybciej, aniżeli ta odrobina ulgi, jaką ono odczuje przez zniesienie lub zmniejszenie tego jednego podatku. Więc jeżeli Sejm nasz pójdzie za zdaniem tych ekonomistów — a jeżeli nie w całości to choć w części będzie musiał pójść za nimi, bo go sytuacja do tego zniewoli — natenczas powiększy dodatek krajowy o te 10 centów, o które obniży dodatek indemnizacyjny. Jeden cent dodatku przy teraźniejszej wydatności daje prawie 110 tysięcy złr., zatem 10 centów dadzą przeszło miljon rocznego dochodu, a budżet nasz krajowy podniosą z 3½ na 4½ miljony. Mając taki budżet do dyspozycji, będzie już mógł Sejm nietylko sprostać wszystkim bieżącym potrzebom, ale zająć się wielu sprawami takiemi, które dotąd nie były nawet dotykane, bo brak funduszów zamykał przed niemi szczelnie wrota naszej krajowej Izby ustawodawczej.

Ze szczerą więc radością przyjął kraj zapowiedź p. Ministra skarbu i za tę obietnicę żywi dla niego głęboką wdzięczność. Ale od obietnicy do wykonania jest jeszcze daleka droga i powiedzmy sobie otwarcie — dość trudna. P. Minister zapowiedź swą złożył nietylko w swojem imieniu, ale w imieniu całego rządu, więc rozumiemy to tak, że rząd nietylko pragnie uczynić to, co jest sprawiedliwem dla Galicji, ale ma najlepszą wolę postarać się o potrzebną większość w Radzie Państwa. Ba! ale czy ją zdobędzie? Nie lekceważymy wcale jego sił i środków, ale znowu znając skład Rady Państwa i wiedząc, ile tam kraj nasz posiada antagonistów, nie możemy zgoła oddawać się różowym marzeniom. Z tych zaś refleksyj wypływa to, że Koło nasze będzie musiało wesprzeć w tej pracy rząd jak najgoręcej, a usuwając na bok wszelkie drażliwości tego lub owego posła, powiedzieć sobie, że ponieważ tu idzie o najżywotniejszą sprawę krajową, bo o całą budżetową przyszłość kraju, przeto wypada gorąco i usilnie pomódz rządowi w zabiegach około utworzenia takiej większości, któraby układ indemnizacyjny przyjęła.

A może być Koło przekonane, że cała rozsądna i patrjotyczna opinja w kraju poklask da entuzjastyczny takiej jego pracy. Każdy bowiem rozumny człowiek i doświadczony w rzeczach politycznych wie o tem, że w życiu parlamentarnem iść na przebój niepodobna. Kto tego chce próbować, wygłasza wprawdzie dźwięczne (bo puste) mowy, ale stoi na miejscu. Natomiast do wszystkiego się dochodzi za pomocą... kompromisów. Owóż w ich zawieraniu powinno Koło mieć teraz to jedno tylko na myśli, aby całą liczbą swych głosów (bez uronienia ani jednego) przeprowadzić to, co pod względem swej doniosłości dla naszego kraju przewyższa wszystkie inne sprawy, jakie w tej kadencji toczyły się w Radzie Państwa.

Korespondencje.

Wiedeń 28 lutego.

(?) Gdyby nie mowa Jaworskiego, niepodobna byłoby mimo najlepszej woli zainteresować się debatą t. z. budżetową, której już drugi dzień liczymy. Na galerjach mało co słychać, szmer w Izbie przeszkadza, nieliczna grupa posłów przysłuchuje się mówcom, każdemu inna grupa; prezydjum i ministrowie muszą wszystko słuchać, lecz zdaje mi się, że w s z y s c y uważają przebycie tej batalji jako ciężar nieunikniony, konieczny, ale też jako ciężar bezużyteczny. Bo cóż może być stąd za pożytek, że znowu mówcy, ci sami co dawniej, czy inni, to samo wygłaszają, co jużeśmy tyle razy słyszeli? Napróżno oczekuje się czegoś nowego, ożywczego, jakiegoś błysku ducha, jakiegoś pomysłu, inicjatywy. Jałowe rekryminacji z jednej strony, znane zastrzeżenia z drugiej — *alles schon da gewesen*. Obrady parlamentów w Londynie, w Rzymie, nawet w teraźniejszym Paryżu, nawet w Peszcie nierównie więcej zwracają na siebie uwagi, niż wiedeńskie. O parlamencie wiedeńskim w wielkich europejskich dziennikach wcale nie ma relacyj, albo bardzo rzadkie z powodu, że horyzont obrad bywa dziwnie zacieśniony, że nie występują wielkie jakieś programy, czy tendencje, lecz jednostronne wywody, zbyt lokalne, które napróżno państwową pozę przyjmują. Może się to zmieni, może duch jakiś spłynie jeszcze po promieniach elektrycznych na lewicę, która jak dotąd tylko w przeżuwaniu okazuje się biegłą. Do dzisiaj południa jeszcze o budżecie nie mówiono, więc o czemże? o tem i owem, co tam komu wątrobę gniecie.

Jest jeszcze ten zwyczaj w Izbie poselskiej w Wiedniu, że debata nie jest debatą, nie jest dyskusją, rzadko bardzo się zdarza, żeby mówcy polemizowali z sobą, zazwyczaj każdy wygłasza swoję mowę, każda jest rzeczą dla siebie, odrębną, więc dramatu, życia nie ma i ledwie, że się da ideowy związek między mówcami odszukać, może i to w dalszym ciągu się zmieni, tymcza-

---

81)

W walce z losem.

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH.

Przez

Jerzego Myriela.

(Ciąg dalszy).

— Za pozwoleniem, — przerwał Beczkowski, — jako niekompetentny, szanowny kontrolor nie ma głosu.

— Tak, nie ma głosu, profan jest!

— Przepraszam, bardzo przepraszam. Nie mam własnego doświadczenia, ale korzystałem z praktyki cudzej. Miałem dowód, i nie jeden dowód, ale tysiąc, że wszyscy moi koledzy żonaci, zawsze tak tańczyli, jak im szanowne magnifiki zagrały, to znana rzecz. Byli to biedacy, prawdziwi niewolnicy!

— Hola mości dobrodzieju! — protestował kupiec, — przepraszam, w tym razie wystąpić muszę, jako obrońca małżeństwa. Kto się da zawojować ten jest pod pantoflem, lecz kto ma wolę własną, ten panie dobrodzieju, oho! niechnoby żona spróbowała mną rządzić...

W tej chwili właśnie chłopak sklepowy wszedł do pokoju i szepnął kilka słów Beczkowskiemu, poczem dodał:

— Pani prosi, żeby pan przyszedł w tej chwili..

Beczkowski, pomimo tuszy, zerwał się z miejsca i wybąknąwszy kilka słów przeproszenia, pobiegł przez sklep do domu.

— A co?! — zawołał kontroler, — przypatrzcie się!... co, czy nie miałem racji!?

Radzca zasępił czoło. Rozmarzony winem i myślami, które nie dawały mu spokoju, stracił humor i już do końca śniadania był zamyślony i posępny. Nie pomogły żarciki kontrolora, ani komiczne tłumaczenie się Beczkowskiego, który powróciwszy z mieszkania, wcale kieliszka już nie tknął — radzca rozruszać się nie mógł.

Pożegnał przyjaciół dość chłodno i poszedł na miasto, nie wiedząc dokąd, nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, szedł aby iść, czuł że potrzebuje samotności, ciszy. Nie odpowiadał na ukłony znajomych, nie patrzył na przechodzących, szedł ciągle. Dopiero gdy deszcz zaczął padać, spostrzegł, że nie ma parasola, że przemoczy kapelusz, wsiadł więc w dorożkę i do domu zawieźć się kazał.

Przybywszy do mieszkania, na sofę się rzucił; zasnąć chciał, ale napróżno — myśl o małżeństwie nie pozwoliła staremu kawalerowi zmrużyć powiek. Odpędzał ją całą siłą woli, ona zaś powracała znowuż, uparta i natrętna. W wyobraźni radzcy ukazywała się Malwina ponętnie ładna, cicha, pracowita, z łagodnym uśmiechem na twarzy. Właśnie o takiej marzył w dniach młodości, wówczas kiedy jeszcze miał faworytki czarne i oczy błyszczące.

Im dłużej o niej myślał, tem bliższym był decyzji stanowczej, ale z drugiej strony przerażała go zmiana trybu życia, utrata starokawalerskiej swobody.

Biedny radzca znalazł się nagle na rozdrożu, walczył sam z sobą i ostatecznie nie wiedział co ma czynić. Zmienił się też w krótkim czasie i pomizerniał.

Do Gerlichów chodził coraz częściej, ale w obec panny Malwiny zupełnie tracił kontenans, małomówny, prawie nieśmiały się stawał. Czuł, że gdyby do stanowczego kroku przyszło, gdyby się na małżeństwo zdecydował, to z oświadczynami miałby najtrudniejsze przejście. Jeszcze nigdy w życiu nie znajdował się w podobnem położeniu..

W biurze bywał często roztargniony i, nieraz zapytany o co, potrzebował długiej chwili, aby myśli zebrać i zrozumieć o co chodzi. Zauważyli to koledzy, zauważył również i dyrektor — pytali o przyczynę, ale radzca roztargnienie swoje na niedyspozycję, na ból głowy spędzał, mówił o konieczności wyjazdu w lecie, potrzebie odpoczynku, hydropatji...

Ostatecznie rozstrojowi nerwów przypisano winę, a że radzca wciąż kwękał i dawał po sobie poznać że jest chory, więc nikt się niedomyślał burzy, jaka wrzała w jego myślach i w sercu.. a była to prawdziwa burza, tem groźniejsza że spóźniona, jesienna, zimowa prawie...

Czas biegł tymczasem, dnie za dniami, tygodnie za tygodniami mijały. Przyszła wiosna, piękna, uśmiechnięta, wdzięku pełna. Ogrody i parki miejskie pokryły się zielenią, wśród murów zaczynało się robić pusto, bo kto mógł tylko, komu obowiązki lub niedostatek na przeszkodzie nie stały, ten uciekał na wieś, bliżej lub dalej, do lasów, na pola, na łąki, swobodnego odetchnięcia, wypoczynku, powietrza świeżego spragniony.

Radzcy pytano w biurze kiedy wyjedzie, dyrektor już nawet zastępstwo obmyślił, ale pan Wincenty wybierał się w drogę jak sojka za morze, wyjazd z tygodnia na tydzień odkładał, a w rzeczy samej wyjeżdżać nie myślał, bo przykuwała go do miejsca siła szczególna, której oprzeć się, ani z którą walczyć nie mógł...

U Gerlichów coraz gorzej się działo. Bieda zaglądała do nowego mieszkania i powoli, stopniowo, obejmowała je w swoje posiadanie. Popłacono różne należności, a że pan Józef dla siebie potrzebował dużo, że mu szczęście nie zawsze dopisywać chciało, więc fundusik ze sprzedaży rzeczy otrzymany, topniał, topniał, aż stopniał zupełnie. Znów się trzeba było do nowych sprzedaży uciekać, znów gracików różnych mniej potrzebnych, a potem nawet i potrzebnych pozbywać, w mieszkaniu robiło się coraz przestronniej, coraz bardziej pusto.

Nie mogła złemu zapobiedz, drobna, groszowa oszczędność Malwiny, oszczędność do ostatnich granic prawie, do skąpstwa, do głodzenia się doprowadzona. Próbowały panny robótki robić i do sklepów w komis do sprzedania dawać, ale nie przynosiło im to wiele, nie opłacało pracy. Czasem z tego źródła grosz jakiś, jakby darowany, kapnął, ale była to kropla w morze.

Pana Józefa obietnice wszystkie zawiodły, choć wymagania swoje znacznie obniżył; nie marzył już o tysiącach, o stanowisku wybitnem, ale na skromnej na najskromniejszej posadce gotów był poprzestać, byle cokolwiek mieć chociaż, lecz i tego osiągnąć nie mógł. W klubie bywać przestał, bo nie miał się z czem tam pokazywać, całe dnie w domu przepędzał, wieczorami tylko wychodząc na miasto, bo nawet garderoba jego, elegancka niegdyś, obniszczyła się trochę, a krawcy nowej kredytować nie chcieli.

Jedyną pociechą młodego Gerlicha był Chrząski, który mu ciągle i niezmiennie przyjaźń swą okazywał. Bardzo to platoniczna przyjaźń była, na samych czułościach i obietnicach oparta... ale przyjaźń. Gdy się nie ma nic i nikogo, dobre bywa i złudzenie, a Chrząski łudzić umiał, zawsze w perspektywie złote góry ukazując, a w rzeczy samej nic nie robiąc i nie zobowiązując się do niczego. Gdy Józio bardzo na losy narzekał, gdy się bardzo uskarżał, wtedy mu nowy przyjaciel, pod pozorem pożyczki, jakąś drobną kwotę w rękę wtykał i tym sposobem ze światem go jednał; bo naprawdę Józiowi nie wiele było potrzeba. Myśl jego nie wybiegała naprzód, nie zaglądała w przyszłość; aby na dzisiejszy, co najwyżej na jutrzejszy dzień było, to dość tymczasem, a jutro?... może jutro coś będzie, może fortuna się uśmiechnie i w jakiejkolwiek formie szczęście ześle...

Chrząski prawie codzień u Gerlichów bywał i widocznie o względy panny Izabelli się starał — ku wielkiemu oburzeniu radzcy, który czuł do niego antypatję szczególną. Chrząski widział to dobrze i wzajemnością staremu odpłacał, nie szczędząc mu przy każdej sposobności złośliwych docinków. Doszło do tego, że obadwaj unikali się nawzajem. Chrząski wieczorami przychodził, radzca po południu. Pierwszy ośmieszał drugiego w oczach Izy, która wybuchami szczerej wesołości dowcipki młodego człowieka przyjmowała, drugi znów ostrzegał kilkakrotnie Malwinę, że domniemany panny Izabelli konkurent opinji dobrej nie ma, że w mieście o nim źle mówią, że Bóg wie jak smutne konsekwencje mogą z tych, zbyt częstych wizyt wyniknąć...

C. d. n.

sem trzeba w korespondencji z mówcami się rozprawiać.

Carneri ubolewa nad militaryzmem, a remedjum przeciw niemu ma być germanizacja i bezwyznaniowość. „Państwo musi mieć jeden język, gdyż inaczej przestanie być samoistnem indywiduum." A to pyszny frazes, dosyć go posłyszeć, żeby się rozśmiać. Młodzież na całym świecie uczy się języków, byle tylko kilkoma władać, lecz państwo ma wyprzeć się języków własnych ludów i krajów, byle germanizatorom filozofom się spodobać. Obok języka na wojsku nowożytna szkoła dawać inteligencję, a tymczasem knują się zamachy na tę szkołę, bo katolicy są zdrajcami państwa. Jaki ta filozofja ma związek z budżetem? ja nie wiem.

Mowa p. Jaworskiego była rozumną polityczną, posiada jasno sformułowane do rządu żądania i daje lewicy naukę o racjach stanu, a co do budżetu wyraża nadzieję, że ludność potrafi ocenić przywrócenie równowagi.

Scharschmidt nakręcił katarynkę niesłychanie już zardzewiałą; ubolewał, że Wiedeń upada, a to wręcz nieprawda, jak to wiecie z wykazów magistratu, które w swoim czasie przytaczałem. Ubolewał, że różne nowe ustawy znoszą wolność przemysłową (recte wolność oszustwa), oraz wolność dzielenia gruntu. Są więc amatorzy atomizacji społeczeństwa i ziemi. Ale złożył cenne wyznanie, że ta część ludności, którą liberałowie chcą uszczęśliwiać według swoich formułek, nic o nich słyszeć nie chce. Jacyż pożałowania godni!

Herold, poseł młodoczeski, używszy sobie hymnem na czeskie prawo państwowe, czego mu zresztą za złe brać nie można, zrobił odkrycie: że gabinet Taaffego nie stoi ponad partjami, lecz między partjami. Więc cóż z tego, gdyby tak było? to zbrodnia zapewne, że pośredniczy i jednoczy? Wykazał dalej Herold niemożliwość centralizmu w państwie zbiorowem, różnolitem: racja! Ubolewał, że sztuczne ordynacje wyborcze są krzywdą ludności, słowiańskich; i to racja, należy to zwolna naprawiać. Stwierdził, że historycznem zadaniem Austrji jest pomiędzy dwoma wielkiemi państwami organizować małe ludy i zachowywać ich właściwości, i to racja i dawno wiadome rzeczy.

Ale Lienbacher jeszcze lepsze zrobił odkrycie, już nie co do rządu, ale co do prawicy i wymyślił znakomitą formułkę t. j. znakomitą pod względem rabulistyki, która stała się naturą tego jednostronnego posła. Oto solidarność większości dobrą jest dla większości w tej większości, ale mniejszość tej większości jest gnębiona przez większość i dlatego katolickie (skrajne) desiderata nie mają powodzenia. Lecz zapomniał pan Lienbacher powiedzieć co zaleca w miejsce owej solidarności i większości. I rolnicze ustawodawstwo znajduje złem, ale nie powiedział, jakiem być powinno. Nawymyślał prawicy i kontent, a pożytek z tego jaki? ja nie wiem. Wiem tylko że taki sam dalszy ciąg nastąpi.

Rada państwa.

Wiedeń 28 lutego.

299 wieczorne posiedzenie Izby posłów zagaił przewodniczący dr. Smolka o godzinie 7 minut 40.

Na fotelach ministerjalnych: Taaffe, Dunajewski, Falkenhayn, Gautsch, Schönborn, Zaleski.

W dalszym ciągu ogólnej rozprawy budżetowej zabrał głos pos. dr. Waszaty, zarzucając, że przymierze z Niemcami doprowadza Austrję do bankructwa. Zapóźno dojdziemy kiedyś do przekonania, że przymierze to nie jest dla nas możliwem i że je rozwiązać wypada. Przymierze to sprzeciwia się historycznej nienawiści Hohenzollernów do Habsburgów, a dowodem tej nienawiści jest rok 1866.

Sprzecznem jest również to przymierze z Niemcami i Włochami, bo oba te państwa opierają swój rozwój i potęgę na ideach narodowych: pangermańskiej i panitalskiej, a Austrja nie przeciwstawia tym dwom potężnym ideom żadnego odporu narodowego. Nam przeto szukać trzeba sojusznika, z którym interesa nasze nie wchodziłyby w żadną sprzeczność, a takim może być tylko... Francja. Z nią alians trzymałby na wodzy zapędy włoskie, zizolowałby doszczętnie Niemców, i przyprowadziłby zarazem do porozumienia się z Rosją, która chętną jest poczynić Austrji wszelkie koncesje, aby mieć jeno swobodną rękę nad Bosforem i za Bałkanami. Gdy jednak nie jest bliską przyszłość zwrócenia zagranicznej polityki na inne tory, mówca nie będzie głosował za budżetem, a musi to czynić jako Czech przeciw rządowi, który do Morawji wysyła namiestnika, nieumiejącego ani słowka po czesku. (Pos. hr. Lażansky daje mówcy oklaski).

Pos Dr. Vitezic występuje z żażaleniami, iż na Pobrzeżu ignoruje rząd zupełnie narodowość słoweńską i istryjską, a obsadzając urzędu ludźmi nieznającymi sławiańskich narzeczy, dopomaga bezwiednie do zitalizowania tej prowincji. Mówca przytacza fakty uciemiężania żywiołu słowiańskiego przez władze — w pośród czego kilkakrotnie przerywa mu obok siedzący poseł Vergotini, a gdy mimo upomnień przewodniczącego Izbie wiceprezydenta Chlumeckiego poseł Vergotini nie przestaje mówcy przerywać i zarzuca mu chęć denuncjowania urzędników, rozdrażniony w najwyższym stopniu tą insynuacją poseł Vitezic zawołał posła Vergotiniego w nieparlamentarnych słowach do milczenia wołając podniesionym głosem: „Stul pysk!"

Słowa te wywołały tumult nie do opisania w całej Izbie. Z wszystkich stron słychać było okrzyki oburzenia a wielu posłów spieszą do prezydenta wzywając go, aby mówcę wezwał do porządku. Wśród ogólnej wrzawy nie słychać pojedyńczych głosów i wykrzyków, a wśród tego zgiełku widać tylko groźne gestykulacje posła Vitezica, który bez przerwy żwawo dysputuje z swoim sąsiadem posłem Vergotinim.

„To skandal" — woła poseł Weitlof — „to obraza całej Izby!"

„Nie pozwolić mu dalej mówić" — wtóruje Dr. Menger.

Wrzawa wzmaga się coraz silniej, przewodniczący dzwoni bezustannie wołając, iż obu poswarionych posłów wzywa do porządku. Upomnienie to wywołuje oklaski na ławach lewicy, lecz budzi groźne szemrania między posłami słowiańskiemi.

Pos. dr. Vitezic woła w najwyższem uniesieniu: „Ja bronię mojej narodowości" a wpada mu w słowo pos. Vergotini wołając: „Rób pan to, ale nie obrażaj mojej!"

Wrzawa i krzyk wzmagają się coraz silniej. Z prawicy słychać głosy przeciw pos. Vergotiniemu, lewica oburza się na pos. Vitezica i żąda zamknięcia posiedzenia.

Wśród tego piekielnego hałasu woła przewodniczący Chlumecki:

„Jeszcze raz wzywam obu pp. posłów do porządku, i zamknę posiedzenie, jeżeli będziecie panowie przemawiać dalej tym tonem!"

Słowom tym towarzyszą szalone oklaski z wszystkich stron Izby i z ław ministerjalnych, a pos. Vergotini woła zirytowany:

„Panie prezydencie! Proszę wybaczyć, jam tylko bronił moję narodowość, którą ten pan..."

Przerywa mu w tem miejscu pos. br. Lażansky krzycząc: „Milcz pan! pan nie masz głosu!"

To intermezzo powiększa znowu wrzawę, nie słychać już nawet dzwonka przewodniczącego. Wszyscy posłowie cisną się ku miejscom, gdzie pos. — Vitezic i Vergotini prawie nie słysząc się nawzajem, wiodą ze sobą gwałtowną sprzeczkę, która chwilami staje się tak gwałtowną i tak bogatą w groźne gesta, iż budzi obawę przemienienia się w karczemną bójkę.

Wreszcie wielu z posłów rozdziela zaperzonych zapaśników, przemocą prawie wciskają się pomiędzy nich, a po dziesięciu minutach wrzawy, jakiej nigdy dotąd nie była świadkiem sala austrjackiej Rady państwa, przewodniczący głosem, słyszanym zaledwie przez najbliżej go otaczających, ogłasza zamknięcie posiedzenia.

Oklaski wtórują tym słowom, a wśród nich opróżnia się wreszcie sala obrad!

Następne posiedzenie w piątek, dnia 1 marca.

Wiedeń 1 marca.

300 posiedzenie Izby posłów otworzył zastępca przewodniczącego, I wiceprezydent Chlumecki o g dz. 10½ przedpołudniem.

Obecni ministrowie: Taaffe, Dunajewski, Pražak, Falkenhayn, Gautsch, Schönborn, Zaleski.

W dalszym ciągu ogólnej rozprawy budżetowej zabiera pierwszy głos pos. dr. Steinwender, poświęcając pierwszą połowę swej mowy polemice z przemówieniami posłów dr. Schuklego i dr. Ebenhocha.

Pierwszemu zarzuca, że nieprawdą jest, jakoby Karyntja przeważnie była sławiańską, gdyż tam obok ludności pochodzenia sławiańskiego od wieków i w zgodzie z swojemi sąsiadami mieszkają windyjscy Niemcy. Tej zgody nie zbudzą zachcianki pp. posłów z Krainy i Karyntji, a nie byłoby nawet do życzenia, aby zbyt dokuczać tamtejszym Niemcom, bo choć to ludziska z kościami dobroduszni i cierpliwi ale w końcu największa nawet cierpliwość ma swoje granice.

Przechodząc „do paradjera wyprodukowanego w stadzie ks. Liechtensteina", wyjaśnia mowca dr. Ebenhochowi, że partja klerykalno-konserwatywno niemiecka z lewą stroną Izby ma prócz wielu wspólnych punktów stycznych w sprawach ekonomicznych i społeczno-politycznych — co jest podrzędniejszego znaczenia — wspólność obowiązków, które wypływają ze wspólnego pochodzenia i ze wspólnego obu stronnictwom języka. Jeżli o tem przepomina dr. Ebenhoch, to mogłoby się zdawać, że tak, jak wielu ludziom brak pewnych moralnych przymiotów: odwagi, litości, wstydu, tak jemu brak poczucia narodowego. Tak nie jest, posiada on ten przymiot serca w obec innych nawoływań, tylko nie w obec własnego i dla tego jeno wstrętną mu wszelka łączność z nami, bo zarzuca nam, że uciskamy i wynarodowiamy inne narodowości.

Na tym punkcie zapomina on widocznie, iż od lat dziesięciu naród niemiecki — i to nietylko ta część jego zasiadająca na lewej stronie Izby, ale i stronnictwo dr. Ebenhocha — najmniejszego nie ma wpływu na kierunek spraw publicznych państwa. Od lat dziesięciu bezustannie tracimy jedno po drugiem stanowiska dawniej zajmowane, a jeśli nie zepchnięto nas dotąd całkowicie na drugi plan, to nie zawdzięczamy tego wcale naszym rodakom z przeciwnej strony Izby, ale umiarkowaniu rządu — umiarkowaniu ugruntowanemu na jego własnym interesie. Srom i hańbę, którą co chwila zbieramy, znoszą tamci panowie z dziwnie filozoficzną rezygnacją i ani słówkiem niezdradzili obrażonej dumy narodowej. Wyparli się nas, bo tak nakazywały im ich zasady religijne i moralne, a przecież były sprawy, z któremi religja i moralność nie miały nic wspólnego, była sprawa podatku od nafty i sprawa kolei Północnej, w których mogli oni iść razem z nami dla materjalnego dobra ludu, dla którego — należąc od lat dziesięciu do większości — niezdobyli ani jednej korzyści ekonomicznej lub politycznej.

Nie w tem spoczywa przeto przyczyna postępowania konserwatystów, ale źródłem tego jest fakcyjna zaciekłość, zaślepiająca to stronnictwo tak wielce, iż nie widzi ono, że z postępem czasu wiele się zmieniło na lewej stronie Izby. Nikt już z tej strony Izby nie żąda od konserwatywnego chłopa, aby się wyprzysięgał swoich zasad wychowawczych, nikt nie chce konserwatywnemu rolnikowi narzucać wstrętnej mu oświaty i postępowych teoryj społecznych. Wzmogło się więc prawdopodobieństwo, iż niebawem zleją się w jednę polityczną całość poszczególne odcienia i rychło już skończy się karjera ludzi, nie szanujących czci własnego narodu.

Zwracając się do sprawy budżetu, przypomina mówca, że pan minister oświaty, żądając uchwalenia podatku od spirytusu i nafty, przyobiecał wnieść przed Izbę regulację podatków bezpośrednich i w skutek podwyższenia podatków pośrednich obniżyć tamte. Od tej pory upłynęło już półtora roku, obietnica została obietnicą; mówca wnosi przeto, aby na tak długo zawiesić rozprawę budżetową, aż rząd przedłoży Izbie projekt zaprowadzenia osobistego podatku dochodowego.

(Oklaski z lewicy — wniosek otrzymuje dostateczne poparcie).

Pos. dr. Poklukar znajduje to zupełnie zrozumiałem, że opozycji nie jest zbyt miłym tegoroczny budżet i że stara się zmniejszyć zasługę stąd rządu.

Wynachodzi więc pozory, aby zarzutami zaniedbywania pewnych spraw osłabić donośność tegorocznego budżetu i posuwa się nawet — jak to uczynił poprzedni mówca — do żądania, aby odroczyć uchwalenie budżetu, dokąd rząd nie przeprowadzi reformy podatków bezpośrednich. Wniosek posła dr. Steinwendera sprzeciwia się nietylko zasadzie, iż każdoroczny budżet winien być uchwalony w pierwszej połowie roku, ale jest połowicznym, bo reforma podatku dochodowego nie jest jeszcze reformą wszystkich podatków bezpośrednich. Wreszcie nie dosyć byłoby wnieść przedłożenie, ale chcąc być logicznym, należałoby z uchwaleniem budżetu czekać, aż ustawa o osobistym podatku dochodowym uzyska najwyższą sankcję.

Lepiej przeto przejść do rozprawy szczegółowej i zastanowić się, na co obrócić nadwyżkę budżetową, a w tej sprawie wyjdzie z pewnością więcej wniosków od opozycji, niż od większości tej Izby (oklaski z prawicy).

Pos. dr. Plener poświęciwszy kilka ogólnikowych uwag sposobowi załatwiania budżetu w parlamencie austrjackim i wyraziwszy życzenie, aby zaniechano systemu przenoszenia kredytów, przeszedł do omówienia politycznego położenia Austrji, a więc rozwodził się nad walkami narodowościowemi i sprawą szkolną.

Rozjątrzeniu panującemu między ludami Austrji winien jest rząd, on bowiem za jaką bądź cenę pragnie mieć większość ludów Austrji za sobą i chlubi się tem, że może bez Niemców rządzić. Jest to polityka krótkowidzów, którzy boją się utracić swoje teki ministerjalne, a niegodna ludzi stanu, którzy powinni wiedzieć, że wielkie stronnictwo polityczne zawsze ma więcej przed sobą przyszłości, niż spółka kilku ministrów. Naród czeski, powołany na ważnego czynnika w polityce austrjackiej, powinienby baczniej patrzeć w przyszłość, nietylko we własną przyszłość państwa, którego byt ściśle jest złączony z jego bytem. Owóż nie będzie to zapewne prowokacją sądzić, że każdy myślący mąż stanu z pośród Sławian musiał przyjść do przekonania, że nie ma w Autrji miejsca na ideał czysto słowiańskiego państwa, a powstanie takiego idealnego ustroju państwowego byłoby równoznaczącem z rozpadnięciem się Austrji (Oklaski z lewicy).

Omawiając stosunki narodowościowe w Czechach, powiada mówca, iż tylko wtedy można tam myśleć o pokoju, jeżeli naród czeski i rząd uznają i zaspokoją słuszne i skromne wymagania tamecznych Niemców. Wymagania te są niczem więcej, jak prawnem uznaniem faktycznych stosunków, jakie się wyrobiły w tym kraju historycznie i statystycznie.

Przechodząc do kwestji szkolnej, zwraca się mówca do dr. Ebenhocha. W zapale oratorskim zaszedł on za daleko, dzieląc ludność Austrji na dwa wielkie obozy: jeden — po ich stronie — walczący w imię Chrystusa i jego nauk, drugi — a wskazał tu na nas — wyprzysięgający się wiary chrześcijańskiej i jej zdobyczy. W tej ważnej sprawie nie chcę rozstrzygać ani w mojem imieniu ani tem mniej w imieniu mojego stronnictwa to mi jednak wolno powiedzieć, że nikt silniej od nas nie ceni i nie uznaje idei i cywilizacji chrześcjańskiej, której Europa zawdzięcza oświatę i umoralnienie. Dla nas Chrystus jest najwznioślejszem uosobieniem uległości i wolności, on skruszył dawne zabobony i człowieka postawił twarz w twarz w obec Boga. To co wy, panowie, nazywacie nauką chrześcjańską, jest niczem więcej jeno „zakonem faryzeuszów i biegłych w piśmie." (Żywe oklaski z lewicy) Oni to chcieliby obniżyć, o ile się da, oświatę ludów, bo chcieliby być wedle słów Chrystusa „ślepymi przewodnikami slepych" i iść w swej nietolerancji do tych kresów, do których zaszliście w obec fatalnych wydarzeń dni ostatnich gorsząc tem ludy Austrji. (Żywe oklaski z lewicy. Dr. Kathrein woła: To nie szlachetne! Z lewicy głosy: Ale prawdziwe!)

Nasze szkolnictwo nie jest ani antireligijnem ani antikonfessyjnem, a najlepszym tego dowodem to, iż w Niemczech wniosek Windthorsta, postawiony w imieniu Kościoła, nie żąda innej szkoły, jak takiej, jaką jest nasza. Tej szkole zawdzięcza Austrja iż poziom jej oświaty wyrównał się do poziomu oświaty innych krajów, i że dziś zamiast 60 prc. analfabetów, jakto było w roku 1867, lub 38 prc. — jakto jeszcze było w r. 1881 — staje do rekrutacji tylko 27 prc. nieumiejących czytać i pisać. Stało się to, dzięki ciężkim ofiarom ludności i za współdziałaniem duchowieństwa wielu prowincji.

W odparciu twierdzenia posła Lienbachera, iż takie szkoły konfessyjne, jakich żąda niemieckie stronnictwo klerykalne, posiadają Saksonja i Prusy, oświadcza mówca, iż niewierzy on w to, aby obecny rząd wniósł do Izby a teraźniejsza większość parlamentarna uchwalić zechciała taki ustrój szkolnictwa, jakiego domaga się stronnictwo klerykalne. Nie wierzy w to, nietylko dla tego, że podobny ustrój szkolnictwa sprzeciwiałby się przeważnej większości ludności państwa, tamowałby istotny rozwój oświaty, szkodziłby moralnej sile armji — ale przedewszystkiem z tej przyczyny, że znaczniejsza połowa większości parlamentu nie jest wcale klerykalną. Więc przeciw szkole konfessyjnej byliby przed innemi przeciwni czescy posłowie z gmin wiejskich i miast, a dalej posłowie galicyjscy, zadowoleni zupełnie z teraźniejszego ustroju tamecznego szkolnictwa. Oznaczałoby to niezmierny upadek moralny, gdyby rząd, przez znakomitą większość rządzodzonych wcale nie popierany, sam nie dzielący przekonań klerykalnych tej większości, jedynie dla mizernego przedłużania swego żywotu chciał poświęcać to, co najlepszego posiada państwo, tj. nowoczesny ustrój szkolnictwa. W tem położeniu nie jest jednak teraźniejszy rząd, a niebawem usłyszycie panowie z ust ministra skarbu, że ustalonym na długie lata jest żywot obecnego gabinetu, że mało on sobie robi z opozycji, bo posiada zaufanie korony i większości, która go popiera, że stosunki finansowe co rok poprawiają się, stosunki polityczne z każdym dniem porządkują się, a w obec tego łatwo znosi się złe humory opozycji.

Owóż o tem uporządkowaniu stosunków politycznych monarchji dziś mówić nie wolno, bo tylko wtedy byłoby to prawdą, gdyby z obecnemi urządzeniami większość ludności była zadowolnioną i wierzyła, iż te urządzenia poręczają państwu spokojną przyszłość. Jak długo więc z temi urządzeniami nie zgadzają się Niemcy, nie może być mowy o skonsolidowaniu stosunków politycznych monarchji, bo chociaż nie stanowią oni absolutnej większości, to jednak ich opozycja jest tak poważną i dużo znaczącą, iż bez ich zgody żaden ustrój państwowy trwałym, żaden rząd silnie ugruntowanym nazwać nie można. Nam z opozycji nie godzi się mówić o przyszłości, leży ona w ręku większości. Ona posiada moc i władzę i jak dotąd tak w przyszłości będzie postępowała bezwzględnie. Ale naszym to obowiązkiem wypowiadać przy każdej sposobności nasze zastrzeżenia przeciw obecnemu systemowi rządowemu, a niemiecka ludność Austrji zatwierdzała to postępowanie nasze dotąd i, nie łudźcie się panowie, będzie je sankcjonowała w przyszłości. I bądźcie przekonani, że jeżeli wam jest danem posiadać władzę przez długie jeszcze lata, a nam zasiadać przez te lata na tych ławach, to tak długo jak wasza władza trwać będzie nasza opozycja, bo jest ona wynikiem naszego najgłębszego przeświadczenia. (Żywe oklaski z lewicy i liczne gratulacje.)

Po pos. Plenerze zabrał głos JE. minister skarbu Dunajewski.

W obszernem streszczeniu podały jego mowę nasze telegramy, a za nadejściem stenograficznych zapisków podamy ją w dosłownem brzmieniu.

Po JE. p. ministrze skarbu przemawiał jeszcze pos. dr. Pscheiden, użalając się, że ustawa o wypoczynku niedzielnym nie bywa ściśle wykonywaną, a nawet sądy w niedziele urzędują. Zaznaczył on następnie, że nowoczesna szkoła małe daje korzyści a kościół, wymagając dla siebie nadzoru nad religijnemi praktykami w szkołach, dalekim jest od wstrzymywania rozwoju oświaty.

Po tem przemówieniu zamknięto rozprawę i wybrano jeneralnemi mówcami posłów Herbsta i Hausnera.

Na tem zamknięto posiedzenie o godzinie 5 min. 40 z południa i wyznaczono następne na sobotę, dnia 2 b. m.

Gal. Towarzystwo kredytowe ziemskie.

Ostatnie posiedzenie Ogólnego zebrania odbyło się w sobotę popołudniu. Uchwalono naprzód na wniosek komisji rewizyjnej, przedstawiony przez p. St. Gniewosza, ażeby Towarzystwu pomocy naukowej udzielić subwencji w kwocie 1000 zł. Następnie przyjęto bez rozpraw a po krótkiem motywowaniu przez wnioskodawcę wniosek p. Abrahamowicza, przez nas w ostatnim numerze podany, dotyczący utworzenia fundacji stypendyjnej im. Włodzimierza hr. Russockiego.

Zgromadzenie przeznaczyło na ten cel 3000 zł., a nie 300 zł., jak u nas mylnie wydrukowano.

Dla wdowy po dyrektorze, ś. p. Henryku Hallerze, uchwalono wypłacać przez lat sześć po 1000 zł.

Hr Wodzicki Antoni wniósł interpelację do dyrekcji, jakie stanowisko zajmie ona w kwestji uchwalonego wykupna prawa propinacji?

Del. Dembowski daje imieniem dyrekcji wyjaśnienie, że jakkolwiek nie powzięła ona żadnej jeszcze w tej mierze decyzji, a to z uwagi na to, że ustawa nie otrzymała jeszcze sankcji najwyższej, to jednak obradowała nad tą sprawą i dziś ma zapatrywanie następujące. Tam, gdzie propinacja była obciążona pożyczką gal. Towarzystwa kredytowego ziemskiego, Towarzystwo będzie musiało się zabezpieczyć, a to, albo przez ściągnięcie ceny wykupna na umorzenie długu, albo też przez wzięcie jej w depozyt. Zaś tam, gdzie propinacja jakkolwiek stanowiąca integralną część posiadłości długiem obciążonej, sama pożyczka obciążona nie była, tam dyrekcja nie może stawiać przeszkód w podniesieniu wynagrodzenia za propinacją oczywiście pod warunkiem, jeżeli raty regularnie opłacane będą.

W toku dalszej dyskusji p. Jędrzejowicz Adam położył nacisk na tę okoliczność, że w razie punktualnego wypełniania obowiązków przez dłużnika względem Towarzystwa zaciągniętych, i jeżeli zresztą pokrycie długu jest zupełnie dostateczne, dyrekcja nie powinna wpływać na zatrzymanie wypłaty.

Del. Abrahamowicz Dawid wykazywał, że trudno w danej rzeczy postawić jakąś ogólną dla dyrekcji dyrektywę. Ustawa o wykupnie prawa propinacji powiada wyraźnie, że reskrypt cesarski wydany z powodu indemnizacji, obowiązuje analogicznie i przy wykupnie prawa propinacji. Stosunek tedy między wierzycielem a dłużnikiem ma być w myśl tego reskryptu unormowany, to znaczy, że Towarzystwo kredytowe ziemskie, bez względu na to, czy propinacja była specjalnie obciążoną długiem czyli nie, będzie miało prawo do żądania odpowiedniej części z wynagrodzenia za wykupione prawo propinacji. W każdym poszczególnym tedy wypadku dyrekcja zastanowi się nad tem jak postąpić należy.

Po przemówieniach jeszcze hr. Golejewskiego i hr. Wodzickiego uchwalono wniosek tego ostatniego ażeby w sprawie tej porozumiała się dyrekcja wspólnie z komisją rewizyjną.

Z kolei przyszedł pod obrady wniosek del. Dzianota postawiony w ciągu dyskusji ogólnej nad sprawozdaniem dyrekcji. Wnioskodawca żądał, ażeby gdy już piąta (a nie jak dotychczas czwarta) część kapitału pożyczonego dłużnikowi, umorzoną zostanie, dłużnik miał prawo żądać nowego planu umorzenia.

Del. Męciński przypomniał, że przed paru laty żądano, ażeby nowy plan umorzenia stosowano już wówczas, gdy ósma część kapitału zostanie umorzoną. Uchwalono to nawet, ale nie otrzymano cesarskiej sankcji. Wniosek delegata Dzianota nie idzie jednak tak daleko, spodziewać się przeto należy, że mu sankcja odmówioną nie będzie

Wniosek del. Dzianota uchwalono

Wniosek del. Horodyskiego, ażeby okręgi wyborcze delegatów zmienić w ten sposób, iżby każdy powiat stanowił okręg osobny, a miejscem wyboru była siedziba starostwa — odesłano do komisji rewizyjnej.

Do komisji rewizyjnej wybrano pp. Męcińskiego, Badeniego Stanisława, Jędrzejowicza Adama, Żabę, Bilickiego, Żurowskiego i Gorayskiego.

W końcu uchwalono podwyższyć płacę prezesa dyrekcji z 5.500 zł. na 6.000 zł., płacę wiceprezesa na 5.000 zł., a płacę trzeciego dyrektora zrównać z płacami dwóch innych t. j. z 3 500 na 4.000 zł.

Na tem zamknął przewodniczący obrady Zgromadzenia którego imieniem del. Wrotnowski podziękował p. Gorayskiemu za przewodnictwo.

Mały Fejleton.

Saboty królowej.

Wpośród niebotycznych buków i kasztanów pokrywających górzystą Owernię, leżał stary zamek Chawaniak, wielka i ciężka budowla pozbawiona wszelkich architektonicznych ozdób. Zamek ten był własnością generała Gilbert de Motier, margrabiego de Lafayette. W cieniu tych rozległych lasów otaczających zamek szeroko w około, w szałasach mieszkała cała rzesza robotników, którzy zajmowali się wyrobem rozmaitych drewnianych przedmiotów. Byli tam węglarze, rębacze, wreszcie fabrykanci drewnianych sabotów. W lesię rozlegały się od wczesnego ranka do wieczora odgłosy siekier, zgrzyt pił, skrzypienie świdrów, pomięszane z dźwiękiem wesołych śpiewów, a uciszały się jedynie w chwilach spoczynku, przy posiłku do którego zasiadano pod majestatycznie zieloną kopułą drzew. Słupy dymu wznosiły się spokojnie i wysoko w powietrzu.

W pośród tej robotniczej kolonji znajdował się pewien młody chłopiec sierota, marzący i smutny, zawsze w sobie zamknięty, z drugiemi mało przestawał w milczeniu zajęty struganiem, przycinaniem, wydrążaniem i polerowaniem swoich sabotów, bo to było jego rzemiosłem. Nazywał się Razon, a w miejscowem narzeczu tak zwanem patois, znaczy raison. Że jednak Razon stronił od towarzyszy, był małomowny i zadumany, uważano go za durnowatego nieco i przezwano Darazon, to jest déraison, a że w chacie swojej zawiesił pod starym karabinem mały obrazek przedstawiający królową Marję Antoninę, śmiano się z niego, po cichu i nazywano między sobą: kochankiem królowej. Pewnego dnia zjechał do zamku swego z Paryża jenerał de Lafayette, a było to właśnie w owym czasie, gdy na dworze francuzkim bawiono się w sielanki, przebierano za pasterzy, i młynarzy, pasterki i wieśniaczki i gdzie wszystkie największe panie a nawet sama królowa nosiły wprawdzie malutkie prześliczne ale prawdziwe drewniane saboty. Opowiadał o tem zebranym pod cienistem drzewem gromadzie mieszkańcom lasu poczciwy margrabia, który lubił z włościanami swojemi w gawędki się zapuszczać.

Opowiadania tego słuchał Darazon z szeroko otwartemi i błyszczącemi oczyma a gdy margrabia mówił o tem, że królowa nosi takie saboty przerwał ze zdumieniem: „Panie margrabio, czy być może, żeby królowa chodziła w drewnianych sabotach?" — Tak jest istocie — mój chłopcze — oparł jenerał. — A gdybym ja — zaczął chłopak wahając się — zrobił parę takich sabotów, czy byłby pan margrabia łaskaw doręczyć je królowej? — Z przyjemnością — przypuszczając, że będą one za ładne dla narzeczonej a dość piękne dla królowej.

Darazon nie odpowiedział już ani słowa! Nazajutrz z pierwszym brzaskiem jutrzenki zaczął strugać śliczną parę sabotów, tak piękne jak te które zwyczajem jest w Owernji, że narzeczony dla ukochanej swej w darze sporządza, w których ona na wesele się ubiera a które jako skarb na pamiątkę zachowuje potem na całe życie.

Po czternastu dniach Darazon trzymając delikatnie w dwóch palcach gotowe już saboty szedł drogą do zamku Chawaniak i tam zapytał o pana margrabiego. — Przynoszę saboty dla królowej — rzekł chłopiec, gdy jenerał go do siebie wpuścić kazał. — Więc to naprawdę twoja robota? zawołał margrabia z podziwem — możnaby myśleć że są przeznaczone dla kochanki tak są piękne! Bądź spokojny, bo mogę cię zapewnić, że je sam osobiście królowej oddam. Istotnie prześliczne to były saboty, wyrobione z drzewa kasztanu, forma elegancka, zgrabnie zwężały się u palców, pociągnięte były tylko woskiem, miały misternie wyszywane arabeski na sobie, a na podbiciu było wyszyte serce wokoło otoczone promieniami a nad tem wśród wieńca kwiaty były cztery litery: *T. T. L. V.*

Margrabia z uśmiechem przyglądał się dziełu młodego chłopca, gdyż rozumiał znaczenie owych czterech wielkich liter, które wedle miejscowego zwyczaju zawsze umieszczane były na sabotach weselnych.

Uszczęśliwiony lekkim krokiem wracał Darazon do chaty swej, gdzie pod portretem Marji Antoniny wymalował te same cztery litery, które wyryte były na sabotach

Jenerał Lafayette powróciwszy do Paryża, nie omieszkał stosownie do uczynionego Darazon przyrzeczenia owerniańskie saboty do Trianon zawieść i opowiedzieć ich historją. — Kochano się wówczas w mrzonkach i pastuszych sielankach, więc królowa była zachwyconą.

Prawdziwe chłopskie saboty, przez prawdziwego sabociarza zrobione i takie zgrabne! A jakie niezwykłe ozdoby, to samo serce w promieniach!

Wtem królowa nagle zawołała:

— Ale cóż mogą znaczyć, margrabio, te litery T. T. L. V.?

— Tylko na wyraźne zezwolenie i rozkaz twój, Najjaśniejsza Pani, mogę je wytłumaczyć.

— Tłumaczże, margrabio, pozwalam ci.

— *T'aïmaraï touta la vida!*

— I cóż to znaczy? — zapytała zaciekawiona królowa.

— Jestto w miejscowem narzeczu napisane, a na dobrą francuzczyznę przetłumaczone znaczy: „*Je t'aimerai toute la vie.*" (Kochać cię będę do końca życia.)

I margrabia wesoło się roześmiał. Królowa jednak nie wtórowała mu, lecz stała zadumana.

— Ale co najszczególniejsza — ciągnął dalej margrabia — że młody mój i niewinny sabociarz uwielbia Waszę królewską mość i czci postać jej na małym wizerunku, dość zresztą podobnym, który zawieszony ma w swojej chacie.

— Poczciwy chłopiec, biedny chłopiec! — szepnęła królowa. — Zdaje mi się tylko, kochany margrabio, że te saboty trochę są za duże; ale to nie szkodzi ze względu na nagrodę.

Marja Antonina oddała saboty, pocichu coś szepnąwszy księżnie de Lamballe, która wyszła z niemi i za chwilę wróciła, niosąc oba trzewiki pełne złota.

— Poślej, margrabio, to złoto — rzekła królowa — w jakiej skrzyneczce twojemu sabociarzowi wraz z serdecznem mojem podziękowaniem i powiedz mu.. albo nie, nie mów mu nic więcej.

Margrabia wysłał też w pięknej drewnianej szkatułce złote pieniądze do Chawagnak, dołączając do nich podziękowanie królowej.

Saboty okazały się w samej rzeczy za dużemi na nóżkę królowej; ale gdyby nawet były dobrane do miary, to nie miała już czasu Marja Antonina na sielankowe zabawki. Byłoto bowiem w przeddzień rewolucji.

Groźne chmury gromadziły się na horyzoncie, a coraz silniejsze gromy spadały w idących po sobie latach 1789 do 1793 na tron królewski. Właśnie co Collot d'Herbois wniósł oskarżenie przeciw jenerałowi Lafayette. Już piękną jasnowłosą główkę księżny de Lamballe obnoszono po ulicach Paryża na ostrzu lancy.

Wiedział o tem wszystkiem co się w stolicy działo i Darazon w głębi swoich cichych lasów; wiedzieli wszyscy, a marzyciel sabociarz żył w trwodze i z obawą w sercu. Gdy usłyszał o uwięzieniu królewskiej rodziny, posmutniał jeszcze więcej, aż pewnego dnia znikł ze swej chaty, gdzie znaleziono tylko otwartą i próżną skrzynkę, w której mieściły się pieniędze.

Zawiesiwszy karabin na ramię, wszystko swoje złoto zaszywszy w odzież z wizerunkiem królowej na sercu, wyruszył Darazon pieszo w drogę do Paryża, wyobrażając sobie w prostocie swego ducha i wierności przywiązanego serca, ni mniej ni więcej jak tylko, że idzie królową uwolnić. Szedł nocami, we dnie ukrywał się w lasach a choć znużony i wycieńczony, zbliżał się jednak do celu swej podróży z dniem każdym.

Wkońcu (17 października roku 1793) stanął w stolicy, chory, wynędzniały, ale pełen zapału i trawiony gorączką.

Na placu Bastyli poznał krajana swego, który w czapce frygijskiej z pałaszem w ręku stał na straży, więc zbliżył się do niego.

— Którędy droga do więzienia Temple? — zapytał.

— A czegoż ty tam chcesz?

— Wyswobodzić królową.

— Co, Austrjaczkę?... Wczoraj właśnie ucięto jej głowę — odparł mu zapytany z cynicznym ruchem.

Darazon zbladł śmiertelnie i porwał za karabin, ale tamten spostrzegł ten ruch i uprzedzając go, jednem pchnięciem pałasza położył biednego sabociarza trupem.

— To arystokrata — wołał — precz z arystokratami!

Zbiegł się tłum. Przeszukano trupa i znaleziono na sercu ukryty wizerunek Marji Antoniny z czterema literami T. T. L. V, które wydały się motłochowi straszliwie podejrzanemi. Wzięto je

za jakieś tajemnicze znaki i uznano za pewnik, że człowiek ten musi być wysłańcem sprzysiężonych w Koblencji lub innym jakim zdrajcą.

Podniosły się wściekłe krzyki, wyciągnęły wszystkie ręce, pochwycono biednego sabociarza z cichych borów Owernji i zawleczono do Sekwany. Tam rzucono na jej dno czciciela królowej a z nim razem i zaszyte w sukni luidory i portret ubóstwianej, który na sercu nosił.

Kronika.

Lwów, dnia 4 marca.

Św. Kazimierz jest patronem dnia dzisiejszego. Rok temu jeszcze, jak przez długi szereg lat posłowie polscy w Wiedniu nie zapominali o tej dacie, bo z nią wiązał się dzień imienin ich nieodżałowanego wodza ś. p. Kazimierza Grocholskiego.

Święcono je uroczyście w serdecznej wymianie uczuć, a dziś — kiedy mogiła pokryła zwłoki ukochanego przodownika w pracy ku dobru ojczyzny — cichą modlitwą za jego duszę święcimy ten dzień ongi dla całej Galicji wesoły i pamiętny.

J. E. p. Namiestnik Badeni, zwiedził w sobotę szkołę politechniczną. Przybył tam o godz. 10 rano bez zapowiedzenia swojej wizytacji i zastał zakład w zupełnym porządku. Wszyscy profesorowie, pomimo, że teraz są małe ferje półroczne, pracowali z uczniami w salach, wszędzie był ład i porządek wzorowy. Namiestnik zabawiwszy w szkole parę godzin i zwiedziwszy wszystkie sale i muzea, opuścił zakład, wyrażając rektorowi i profesorom swoje zadowolnienie.

J. E. Marszałek krajowy hr. Tarnowski powrócił z Królestwa do Lwowa i objął urzędowanie.

J. E. Ludwik hr. Wodzicki wyjechał przedwczoraj do Wiednia z Chyrowa, gdzie bawił przy synie, który zachorował był na zapalenie płuc, ale już ma się zupełnie dobrze.

Mianowania. Rada szkolna krajowa zamianowała nauczyciela tymczasowego szkoły etatowej w Horodyszczu waręskiem Teodora Obara, rzeczywistym nauczycielem tejże szkoły, Leopolda Chomiaka rzeczywistym nauczycielem szkoły etatowej w Paryszczu, Emilję Faustynę dw. im. Siemiginowską rzeczywistą młodszą nauczycielką, zawiadującą stale szkołą filjalną w Cucyłowie.

Z San Remo donoszą nam, że stan zdrowia p. ordynatowej Czarkowskiej znacznie się polepszył i i że J. E. p. Minister Zaleski, który udał się był z Wiednia do chorej córki, opuścił już San Remo, zostawiwszy ją w rekonwalescencji.

Wybór uzupełniający jednego członka Rady powiatowej w Gródku z grupy większych posiadłości, rozpisany został na dzień 9 kwietnia b. r.

W Uniwersytecie Jagiellońskim otrzymał p. Józef Dąbrowski rodem z Bukowska stopień doktora wszech nauk lekarskich.

Nadane stypendja. Kuratorja fundacji im. Piotra Więcławskiego nadała opróżnione stypendja w kwocie rocznych po 150 zł. w. a., Władysławowi Opolskiemu słuchaczowi II roku inżynierji w szkole politechnicznej we Lwowie i Karolowi Marjanowi Miniewskiemu, uczniowi szkoły rolniczej w Dublanach, począwszy od roku szkolnego 1888/9.

Ostatki święci natura dzisiaj zniżeniem temperatury na 12 stopni poniżej zera, przedłużając tem samem zimę, która tego roku przepowiedni, że będzie długą i ciężką, wcale nie zawiodła. Dnie mamy jednak pogodne i ładne

Zmarli. W Rawie Elżbieta z Frankiewiczów Dadlez, żona tamtejszego lekarza.

W Chorągwicy pod Wieliczką zmarła Franciszka Gralewska właścicielka dóbr w 66 roku życia.

W Gołdgórach ks. Justyn Załuski paroch miejscowy w 44 roku życia a 20 kapłaństwa.

Jakób Presz, konduktor pocztowy, zmarł we Lwowie w 45 roku życia.

Władysław Godziemba Głowiński, c. k. egzekutor podatkowy ze Złoczowa, zmarł we Lwowie w 41 roku życia.

Marja Farbowska, wdowa po obywatelu ziemskim, zmarła we Lwowie w 78 roku życia.

Pogrzeb ś. p. Mieczysława Weryha Darowskiego odbył się w sobotę dnia 2 marca o godz. 3 po południu w Krakowie, gdzie zwłoki zasłużonego weterana na tamtejszym cmentarzu na wieczny spoczynek złożone zostały. W oddaniu ostatniej posługi zmarłemu wzięła udział oprócz krewnych, przyjaciół, znajomych i licznie przybyłych deputacji tłumnie zebrana publiczność. Przed wyniesieniem trumny z domu przemówił najpierw gorącemi słowy p. Romanowicz kreśląc żywot zmarłego, jego zasługi wojskowe jak i położone na polu pracy obywatelskiej i stawiając go jako wzór do naśladowania dla teraźniejszego pokolenia. Po nim zabrał głos delegat czytelni akademickiej lwowskiej p. Laskownicki w imieniu młodzieży lwowskiej a pan Jachimiak prezes czytelni krakowskiej w imieniu młodzieży krakowskiej. Na trumnie złożono mnóstwo wieńców. Na cmentarzu nad grobem przemawiał jeszcze p. Danielak, członek czytelni akademickiej lwowskiej.

W szkole ludowej I. izraelickiej, wydarzył się smutny wypadek, o którym donieśliśmy w piątkowym numerze *Przeglądu.* Okazało się jednak, że informacja ta była niezupełnie dokładną. Rzecz się w istocie tak miała. Dyrektor tej szkoły B. Sternberg pobił w kancelarji Adolfa Biegeleisena, który w skutek oddalenia go ze szkoły, żądał podania powodu tego oddalenia. P. Adolfa Biegeleisena przesłuchiwano już w policji, a teraz sprawę tę oddano do sekcji III sądu.

Ślub. W Krakowie pobłogosławiony został związek małżeński p. Józefa Dąbrowskiego lekarza z panną Mają Skulicz, córką sekretarza starostwa.

Z Zakliczyna nam piszą: Dnia 21 lutego b. r. umarł w Zakliczynie ad Dunajec czcigodny i wielce poważany ks. Maciej Klimowski emerytowany proboszcz Paleśnicki i dziekan Czchowski w 78 r. wieku swojego.

Z Obertyna nam piszą: Za duszę śp. Arcyksięcia Rudolfa odprawiono tu nabożeństwo żałobne dnia 23 lutego w cerkwi w obec licznie zgromadzonego ludu a następnie 1 marca r. b. w kościele, na którem byli prócz mieszczan wszyscy urzędnicy sądowi, reprezentacja rady gminnej i nauczyciele ludowi. Dziatwa szkolna nie mogąc być zebraną razem pod kierunkiem nauczycieli z powodu, że szkoła od 2 miesięcy dla ospy zamknięta, przybyła częściowo z rodzicami. Żal nieukojony objawił się łzami na twarzach wszystkich obecnych na nabożeństwie w chwili, kiedy zaśpiewano przy katafalku: *Donai tibi Domine.*

Drugi zjazd katolików austrjackich ma się odbyć jak z Wiednia donoszą, między 29 kwietnia a 3 maja b. r.

Trzęsieni ziemi. W Akwili w Abruzach dało się czuć 28 z m. silne trzęsienie ziemi. Wstrząśnienia powtórzyły się pięć razy, szkody jednak nie wyrządziły żadnej.

Katastrofa na kolei. Z Londynu donoszą o strasznym wypadku na linji kolei koło Sanct-George, gdzie z wysokiego nasypu spadło trzy wagony pośpiesznego pociągu i z podróżnych 35 osób ma być zabitych.

Z Rolowa w powiecie drohobyckim nam piszą: We wtorek odprawiono w naszej cerkwi solenne nabożeństwo żałobne za spokój duszy śp. arcyksięcia Rudolfa; w nabożeństwie tem wzięli udział tak tutejsi właściciele obszarów dworskich jak i cała gmina.

Zdarzył się tu smutny wypadek. — Właściciel posiadłości dworskiej p. Misio, wydawał córkę za mąż za młodziana z sąsiedniej wsi Wróblowice. Jest tu zwyczaj, że w sobotę pan młody ugaszcza u siebie swoich gości weselnych, a panna młoda u swoich rodziców; w niedzielę zaś przyjeżdża pan młody do swej narzeczonej i stąd jadą z całym orszakiem weselnym do ślubu.

Ale niestety, kiedy w niedzielę panna młoda zamierzała ubierać się do ślubu, otrzymała okropną wiadomość, że jej narzeczony leży na katafalku. — W nocy, zabawiając się ze swymi gośćmi, podczas tańca padł raptem na ziemię i Bogu ducha oddał. — Lekarz skonstatował udar sercowy.

Z nad Sanu nam piszą:

Bolesne zdarzenie dotknęło naszę okolicę: August hr. Zamoyski — przybyły w gościnę do córki i zięcia Ignacostwa hr Krasickich — w ich domu dotknięty ciężką chorobą, zgasł na łonie rodziny w dniu 23 z. m., okrywając żałobą nietylko bliskich mu krwią i sercem, ale i tych wszystkich, którzy go znali a tem samem kochali; których tak umiał do siebie przywiązać słodyczą obejścia, łagodnością układu, ojcowską niemal troskliwością z jaką się każdym zająć umiał, każdego sobie zjednać potrafił.

Nie pora tu wspominać o politycznych zasługach zgasłego w tak pobieżnie skreślonym zarysie. Inne pióra zapewne podejmą to zadanie i chlubnie się z niego wywiążą. Dosyć tu wspomnieć, że brat Andrzeja i jenerała Władysława, brat Leonowej ks. Sapieżyny, owego wzoru nieprześcignionego polskiej niewiasty, i pani Działyńskiej, tej matki i siostry ubogich, — że August Zamoyski zawsze szedł śladem starszego rodzeństwa, że każda sprawa publiczna, każda kraju potrzeba zastały go zawsze gotowym i ochoczym do wykonania służby. Wszak tradycją jego domu jest stać wytrwale i niezłomnie na wyłomie.

Ale o czem przemilczeć niepodobna, to o prywatnej jego działalności, o tej miłości śród własnego rodzinnego kółka poczętej a na cały ogół przelanej, której słońcem było ognisko domowe a daleko sięgającemi promieniami stały się uczucia serdeczne i przyjaźne, jakiemi dalszych obdarzał; o tej bogobojności szczerej, pokornej, pochodzącej z serca przesiąkłego wiarą bez pokostu sztucznych dodatków; o tych obyczajach prostych, gardzących wygodami, poprzestających na najskromniejszych życia potrzebach; o tym wreszcie zupełnym braku samolubstwa, zwrotu ku sobie, ku osobistym pragnieniom, byleby otaczającym dogodzić, usłużyć, otoczyć ich tem wszystkiem o co nie dbał dla siebie.

Tak się zrósł z tem zaparciem osobistych pragnień, z tą żądzą poświęcenia w najdrobniejszym nawet szczególe, że zwykł był zawsze drugim ustępować.

A. jednak, lubo tyle skromny w obejściu, w pożyciu, jakże potężny wpływ wywierał na otoczenie swoje, na rodzinę, na domowników; jak umiał łagodnie przestrzedz, pobłażliwie skarcić, utrzymać powagę ojca, zwierzchnika, sędziego, tchnącego wyrozumiałością ale i stanowczością niezłomną.

Słów zresztą nie potrzebował wiele, przykład własny wystarczał, przykład takiego życia bez skazy bywa nauką najlepszą. Synowie na mężów wyrośli, a córki zostały niewiastami pełnemi zasług i cnoty.

Wnuki otoczyły go licznem i nadobnem gronem, wzrastając i bujając pod skrzydłami tej zawsze czujnej opieki, pod wrażeniem tego słowa wygłaszanego oszczędnie, ale jak złoto ważnego; szczęśliwi i ubłogosławieni obecnością sprawiedliwego, którego obraz wiernie przechowany w sercach będzie im stróżem i przewodnikiem śród ciężkich z życiem zapasów.

W młodości jeszcze, dzieckiem prawie wezwany pobudką, zerwał się do czynu; był tam gdzie byli wszyscy, gdzie byli zwłaszcza ci z jego rodu. W bitwie pod Ostrołęką otrzymał kontuzję od kuli armatniej, która konia pod nim zabiła, i tę ranę — nie znaczną wprawdzie, ale dotkliwą — uniósł z sobą na przebieg lat prawie sześćdziesięciu; zabliźniona, ale nie zagojona odzywała się często boleśnie i wkońcu stała się przyczyną jego zgonu.

Nie złorzeczmy jej jednak, lubo nas pozbawiła jednego z najprzedniejszych, z najdroższych, jednego z ostatnich. Ona mu była towarzyszką i powiernicą, ona przypominała młodzieńcze zapały, młodą wiarę w świętość sprawy, w wywalczenie; ona mu zjednała tę słodką, niezrównaną nagrodę ówczesnego żołnierza krzyż „Virtuti militari“, a choć nie dbał o zaszczyty, choć wszelkiem odznaczeniem gardził, któż wie czy czasem nie przycisnął z tęsknotą i dumą do piersi płonącej patrjotycznym ogniem, tego wspomnienia walki olbrzymów, tej nagrody krwią własną zdobytej! Ona blaski promiennej jutrzenki rzucała na tło ponure późniejszych dni, ze wspomnień nadzieję tworzyła, ona wreszcie sprawiła, że — gdy ducha pokorą i wiarą tchnącego unosił ku niebiosom — ziemię żegnał tym ostatnim miłośnym szeptem „Słodko jest i zaszczytnie umierać dla ojczyzny!“

Z Kijowa piszą: Tutejszy sąd okręgowy na kadencji w Humaniu roztrząsał w tych dniach głośną sprawę małżonków hr. Młodeckich.

Szczegóły tego procesu, budzącego wielki interes ze względu na niektóre okoliczności i stanowisko społeczne stron, są następujące:

Józef hr. Młodecki wystąpił z akcją przed sąd okręgowy przeciwko swojej żonie, Dorocie hr. Młodeckiej, żądając odebrania jej i przyznania za niepodzielną jego własność znanych na Ukrainie olbrzymich dóbr Koszowackich, wartujących około miliona rubli.

W akcji swej hr. Młodecki podaje, że w 1863 r. zmuszony on był sprzedawać swe rozległe dobra i opuścić na czas dłuższy Ukrainę. Nie chcąc za bezcen pozbywać się miljonowej fortuny, powód sprzedał dobra fikcyjnie ks. Antoniemu Lubomirskiemu, swemu teściowi, pieniędzy jednak od tego ostatniego nie dostał i po dawnemu był jedynym właścicielem dóbr Koszowackich.

Na potwierdzenie swych słów hr. Młodecki powołał się na szereg dokumetów, a między innemi na list pisany do niego przez ks. Lubomirskiego, z którego było widoczne, że w dobrach Koszowackich rozporządzał się wyłącznie hr. Młodecki i że kierował sprawami majątkowemi nawet będąc na obczyźnie, powtóre na dwa dokumenta, wydane mu przed laty kilku przez żonę, Dorotę z ks. Lubomirskich hr. Młodecką, a stwierdzające, że sprzedaż dóbr. ks. A. Lubomirskiemu była dokonaną całkiem fikcyjnie i że dobra Koszowackie należą do niego.

Otrzymawszy prawo powrotu do kraju, hr. Młodecki postanowił unieważnić akt sprzedaży majątku na rzecz ks. Lubomirskiego, po którym w spadku odziedziczyła go jego żona, Dorota, a córka tegoż ks. Lubomirskiego.

Na posiedzeniu sądowem obrońca interesów pozwanej (hr. Doroty Młodeckiej), adw. przys. Bazyner przedstawił cały szereg dokumentów, stwierdzających, że sprzedaż dóbr koszowackich była prawdziwą, że ks. Antoni Lubomirski wypłacił za nie hr. Młodeckiemu 300 000 rs., za którą to sumę hr. Józef Młodecki, po upływie pewnego czasu, nabył w Galicji inne dobra.

Powołując się na przedstawianie akta, Bazyner wyjaśnił, iż dobra koszewackie, jako własność ks. Lubomirskich, stanowiły posag córki ks. Antoniego Lubomirskiego, ks. Doroty, żyjącej dziś w separacji ze swym mężem hr. Józefem Młodeckim.

Obrońca interesów hr. Młodeckiej żądał oddalenia akcji, uznania sprzedaży dóbr Koszowackich za rzeczywistą i przysądzenia na rzecz pozwanej kosztów sądowych, przyczem cenę powódzca podnieść z 300,000 rs. do miljona

Obrońca interesów powoda, adw. przys. Dziewanowski, oświadczył, że wysłuchawszy argumentacji strony przeciwnej, nie może on jej nie przyznać całkowicie racji. Wobec tego nie pozostawałoby mu nic innego, jak żądać zawieszenia sprawy; ponieważ jednak jego mandant nigdy na to nie przystanie, przeto adw. Dziewanowski prosi sąd o wydanie decyzji na zasadzie posiadanych przezeń dokumentów.

To ostatnie oświadczenie powoda wprawiło w zdumienie zarówno sąd, jak i stronę przeciwną.

Przewodniczący zażądał od adw. Diewanowskiego kategorycznej odpowiedzi: „czy wnosi o odalenie swej własnej akcji, czy też żąda jej zasądzenia.“

Adw. Dziewanowski odparł znowu, że żąda „zasądzenia akcji na zasadzie przedstawionych przezeń dokumentów.“

Sąd akcję hr. Józefa Młodeckiego oddalił w całości i skazał go na zapłacenie dodatkowe stempla na korzyść skarbu w kwocie 3.500 rs., zaś kosztów zsądowych na korzyść hr. Doroty Młodeckiej w kwocie 4.300 rs.

Losy Cyrulika Sewilskiego. W wydanej świeżo książce przez słynną śpiewaczkę Matyldę Marchesi pod tytułem *Aus meinem Leben* (Z mojego życia) znajdujemy następujący ciekawy ustęp o losie, jaki spotkał operę Rossiniego: *„Il Barbie e di Seviglia“*. Pani Marchesi pisze mianowicie tak:

„Wieczory jakie spędzaliśmy we Florencji w domu Rossiniego, owego *Cigno di Pesaro* nie należały do najprzyjemniejszych. O muzyce nie było na nich nigdy mowy, tem mniej jeszcze myślano o jej wykonywaniu. Ton panujący w salonie pani Rossini był chłodny, nieprzyjemny: pewien rodzaj sztywności przygniatał wszystkich. Kapryśna, szorstka w obejściu gospodyni domu, zajmowała się więcej ulubionym pieskiem, leżącym u nóg jej na eleganckiej aksamitnej poduszce, aniżeli mężem i gośćmi.

„O ile Rossini u siebie był małomównym gdy bawił u nas w odwiedzinach, stawał się wesołym i skorym do gawędy. Wtedy opowiadał o swoich podróżach, o przygodach domowych w życiu; pomiędzy innemi, począł raz mówić o pierwszem przedstawieniu swojego „Cyrulika Sewilskiego“. Kiedy słuchając moich oper — opowiadał — dostrzegłem w nich błędy lub niedbalstwo, to z powodu wyrzutów, jakie sobie czyniłem, nie miałem spokojności, po całych nocach sypiać nie mogłem. Gdy jednak widziałem, iż dzieło mi się udało, że nie byłem wstanie nic lepszego utworzyć, to chociaż doznało niepowodzenia, wracałem do domu spokojny, zadowolniony i spałem snem sprawiedliwego.

„Moja opera Il Barbiere di Seviglia, wystawiona pierwszy raz w Rzymie, od początku do końca bez litości została wygwizdaną. Wielbiciele Paissiela oburzeni byli na mnie za to, iż będąc bardzo mało znanym muzykiem, poważyłem się użyć tego samego libretta, do którego ów najpierwszy włoski kompozytor tak doskonałą skomponował muzykę Z drugiej strony duchowieństwo okazało mi także dużo niechęci z powodu wybrania dla Rzymu tekstu napisanego przez Beaumarchais'go,. Nikt atoli nie wiedział, iż zaliczki, jaką otrzymałem od dyrektora teatru w ilości stu talarów (scudi) na kupienie libretta, nie pozostało mi już ani grosza. Zkądże go więc miałem wziąć? Za trzy tygodnie miał się rozpocząć sezon teatralny nową operą a ja jeszcze ani jednej nuty nie napisałem! Dyrektor teatru począł być niespokojnym i odgrażał się na mnie.

„W takiem to strasznem położeniu przyszedł mi do głowy Cyrulik. Treść jego odpowiadała mojemu chwilowemu usposobieniu, libretto zaś mogłem mieć zadarmo. Napisałem tedy list do Paisiela, prosząc o pozwolenie korzystania z jego książki, na co się chętnie zgodził. Wziąłem się więc żwawo do pracy, a jak zapewne wiecie — mówił dalej Rossini — w dwanaście dni Cyrulik był gotów, Rozpoczęto próby, ale już pierwszego dnia nie szczędzono mi szyderstw i wydrwiwania. Jeden tylko człowiek wielki śpiewak zachwycał się moją muzyką i dopomagał mi radą i czynem w scenicznym układzie sztuki, przyśpieszając tym sposobem jej wystawienie. Był nim sławny tenorzysta Garcia ojciec znakomitych śpiewaczek Malibran i Viardy, dla niego to rolę Lindora napisałem.

„Nadszedł nareszcie wieczór pierwszego przedstawienia.

„Burzliwszego nigdy już w ciągu mojej artystycznej karjery nie doznałem.

„Nie tylko uprzedzenia nieprzyjaznych mi stronnictw, lecz także fatalny zbieg nieprzewidzianych okoliczności przyczynił się do wielkiego fiasca mojej opery. Uwertura i pierwszy chór zagłuszone zostały sykaniem i świstaniem publiczności. Garcia oburzony do najwyższego stopnia jej niesprawiedliwością, śpiewając serenadę, większą część stron na gitarze pozrywał, co wywołało taki hałas, że muzyki wcale słychać nie było. Biedny don Basilio — młody, początkujący śpiewak, zalękniony skandalem, wchodząc nastąpił nogą na swoją długą sutannę i upadł twarzą na scenę. Powstawszy z nosem zakrwawionym, potrzebował kilka minut czasu, zanim był w stanie śpiewać.

„Zaledwie publiczność poczęła się nieco uspokajać, gdy nagle kot wylazł na scenę i tylko z wielką stratą czasu udało się go z niej wypędzić. Był to już szczyt nieszczęść tego wieczora... Kurtyna zapadła niedokończywszy opery!

„Pomimo wszystkiego, pozostawałem spokojnym, miałem bowiem wewnętrzne przekonanie, iż pracowałem według sił moich, a niesprawiedliwe uprzedzenie publiczności, niechcącej jednego taktu mojej muzyki spokojnie wysłuchać, oburzało mnie do głębi duszy.

„Nazajutrz rano prosiłem dyrektora teatru, ażeby mnie raczył zwolnić od obowiązkowego dyrygowania przez dwa następne dni moją operą, na co się chętnie zgodził. Zwyczajem bowiem włoskim każdy kompozytor musi swoją nową operą trzy razy z rzędu dyrygować.

„Wkrótce jednak po tem nieszczęśliwem przedstawieniu poczęła się pomiędzy uczęszczającymi do teatru tworzyć reakcja. Jedni chwalili uwerturę, drudzy wspominali z uznaniem motywa pierwszego finału, inni znów utrzymywali, że arja Figara odznacza się oryginalnością i. t. p.

„Było to już wystarczającem, aby zniewolić większą część publiczności do zwrócenia uwagi na operę za drugiem jej przedstawieniem.

„Podczas tego drugiego przedstawienia pozostałem w domu. Pragnąłem się czemś zająć, chciałem pisać, komponować, czytać... myśli jednak zebrać nie mogłem. Wziąłem do ręki zegarek, i począłem w myśli śpiewać moję uwerturę, a następnie cały pierwszy akt. Nagle opanowała mnie nieprzezwyciężona ciekawość. Muszę się przekonać, jak też moja muzyka za drugim razem jest przyjmowaną.... Postanowiłem pójść do teatru.

„W tem o uszy moje obił się niezwykły hałas; pobiegłem do okna i ujrzałem tysiące ludzi z pochodniami, zbliżających się ku mojemu mieszkaniu. Zanim mogłem przyjść do siebie z podziwienia, pochwycono mnie, i wśród entuzjastycznych okrzyków: „Eviva Rossini!““ podniesiono do góry w szlafroku, którego nie miałem czasu zamienić na surdut i w tryumfie zaniesiono do teatru.

„Publiczność żądała, abym sam dyrygował drugim aktem „Cyrulika“. Słuchacze, tak niechętni podczas pierwszego przedstawienia do mojej opery, wpadli teraz w zapał, posunięty dla najwyższego stopnia. Po ukończonem przedstawieniu zaniesiono mnie znów tryumfalnie do domu..

„Taki oto był — kończył Rossini — chrzest mojego „Cyrulika“.

Ernest ma wuja.

Wuj obdarza Ernesta.. uwagami moralnemi...

Pewnego razu powiada mu:

— Pamiętaj chłopcze płać swoje długi... nie wyobrazisz sobie, co to za przyjemność płacić długi.

W parę dni Ernest przychodzi rozpromieniony.

— Zrobiłem wujowi przyjemność — woła z dalesa...

— Jaką?

— Zaciągnąłem dług... wujaszek zapłaci!

W Paryżu.

— Słuchaj, twój profesor z ciebie niezadowolniony..

Malec pogardliwie:

— Balanżysta! oni ze wszystkiego niezadowolnieni..

Teatr. Dziś „Dwór w Władkowicach“ komedja Z. Przybylskiego.

Jutro „Trubadur“. Występ pani Eweliny Kotkowskiej, panny Marji Pawlikowówny, p. Teodora Borkowskiego i p. Aleksandra Niżankowskiego.

Część ekonomiczna.

= **Gal. Bank kredytowy.** Stan z końcem lutego r. b. — Wkładki na książeczki i asygnaty kasowe 1 301.560 zł.

= **Spółka** ślusarska w Świątnikach górnych powiększyła liczbę naszych stowarzyszeń zarobkowych.

Weszła ona w życie z początkiem bieżącego roku, biorąc sobie za cel statutowy dostarczanie członkom materjałów potrzebnych w przedsiębiorstwie ślusarskiem, tj. żelaza, stali, węgla, koksu, narzędzi, maszyn itd.

Równocześnie wolno będzie spółce urządzać składy i ajentury dla sprzedaży wyrobów świątnickich, dążyć do rozwinięcia tamecznego ślusarstwa na stopę fabryczną i zaprowadzić wyrób nowych przedmiotów z żelaza i stali, przydatnych do łatwego i korzystnego spieniężania.

= **Taryfa przewozowa** na galicyjskie drzewo do portów adrjatyckich została przez koleje, biorące w tym transporcie udział, ułożona. Przy ładunkach co najmniej 10.000 kilogramów kosztować będzie przewóz do Tryjestu lub Rieki od metrycznego cent. z Czerniowiec 178.9 ct., z Stanisławowa lub Bednarowa 173.4 ct., z Doliny 168.7 ct., z Stryja 164 ct., z Skolego 166.9 ct., z Borysławia 164 ct., z Sambora 163.7 ct., z Rytra 163.6 ct., z Chabówki 157.1 ct.

Taryfa ta ma na razie obowiązywać koleje po koniec b. r., i przysłuża przewozowi drzewa nieoprawianego lub z grubszej trzaski oprawianego.

Wiedeń 2 marca.

Już w czwartek wieczorem wiadomość, urzędownie udzielona sferom giełdowym o wysokości zeszłorocznej dywidendy od akcji Zakładu kredytowego, wywarła na wieczorną giełdę niekorzystne wrażenie. Spotęgowało się ono w piątek z rana, bo również Berlin uznał wysokość tej dywidendy za nieodpowiednią rozmiarom interesów robionych w roku zeszłym przez Zakład kredytowy i potężne ilości Kredytów rzucił na sprzedaż.

Rzuconą rękawicę podjęła wprawdzie wiedeńska kulisa, lecz korzystając z olbrzymich podaży obniżyła wydatnio kursa Kredytów.

Nadzieje zawiedzione na dywidendzie Kredytów podkopały wiarę w przypuszczalną wysokość innych bankowych akcyj, a z tym zwątpieniem szło w parze obniżenie Anglosów i Unionów, których kursa, tuczone nadziejami wysokich dywidend, rosły ustawicznie od miesiąca.

Cofnęły się one w piątek, lecz za sobą nie pociągnęły bynajmniej Länderbanków i Bodenkredytów, które przeciwnie dążyły w górą wraz z rentami.

W obu kierunkach, t. j. w spadku Kredytów a w równoczesnym rozwoju kursów w papierach transportowych i przemysłowych, jak oraz w rentach i akcjach bankowych — dzień dzisiejszy nie przyniósł zmiany, a ostateczne notowania z obu ostatnich dni ubiegłego tygodnia cyfrowo to udowadniają.

Oto one:

kredyt. austr.	308·—	308·—
„ węg.	313·—	307·74
anglob.	133 30	134·10
uniony	234·—	236 50
bankv.	109 —	109 30
laenderb.	230 20	231 90
ludwiki	205 75	206·10
czerniowieckie	229 25	230·—
renta pap. wsp.	83·70	83·70
„ srebrna	84·05	84 10
austr. złota	111·40	111·45
5% austr.	99 60	99 75
węg. złota	102·10	102·20
5% węg.	94·35	94·40
ruble	1·29½	1·29½

Telegramy „Przeglądu“.

Bukareszt 3 marca. Komitet dla spraw obwarowania kraju słuchał wczoraj sprawozdania ministra wojny. Według memorandum tego komitetu, oprócz wydania już trzech miljonów, potrzeba jeszcze 70 miljonów, aby uzupełnić obszerny system obwarowania miast Bukaresztu, Galacu i Fokszani. Przed wniesieniem odnośnego przedłożenia żądającego kredytu, minister wojny na tajnem posiedzeniu Izby udzieli potrzebnych wyjaśnień.

Petersburg 3 marca. *Journal de St. Petersburg* wyraża zadowolnienie z powodu artykułu *Koelnische Ztg.* z dnia 25 lutego, omawiającego politykę cara, która w zupełności odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy i który potwierdzają wszystkie czynności rządu rosyjskiego. Polityka ta dowodzi, że Rosja będąc dość silną i wielką dla własnego dobra, nie potrzebuje nikomu wyrządzać krzywdy.

Berno 3 marca. Rada związkowa zarządziła, aby pułk piechoty kantonu Zurychskiego gotowym był do wymarszu na wypadek, jeśliby zaszły nieporządki podczas wyborów w kantonie Tessyńskim.

Rzym 3 marca. Zapewniają, że w nowym gabinecie Crispi zatrzyma teki spraw wewnętrznych i zagranicznych.

Ojciec św., kardynałowie i ciało dyplomatyczne byli z rana na mszy, którą celebrował w Sykstyńskiej kaplicy kardynał Laurenzi.

Madryt 3 marca. Izba uchwaliła przedłożenie dotyczące reform zaprowadzić się mających w armji i odroczyła następne posiedzenie do 11 marca.

Nowy Jork 3 marca. Komendant korwety „Adams“ został z Samoa odwołany.

Bern (w Szwajcarji) 4 marca. Przy wczorajszych wyborach do wielkiej Rady weszło z kantonu tessyńskiego 75 konserwatystów, 37 liberałów. Ci ostatni stracili dwa miejsca ale zyskali za to dziesięć nowych. W kantonie Wadt zyskali radykalni demokraci znakomitą większość. Spokój został wszędzie zachowany.

Nadesłane.

Przyjechali do Lwowa

dnia 4 marca 1889.

Hotel Żorża: T. hr. Stadnicki z Wiednia. E. Zagórski z Kołodziejówki. L. Mattoni i A. Germann z Wiednia. K. dr. Morawski z Krakowa. J. Trzecieska z Dynowa. E. Oczosalski z Krakowa.

Hotel Langa: A. Koch i F. Setz z Wiednia. W. Korostowski z Jarosławia. W. Boguński z Krakowa. F. Sozański z Wolicy. M. Jaretzki z Berlina. E. Pohorecki z Królestwa Polskiego.

Hotel Angielski: K. Horodyski z Kolendzian. E. Rozwadowski z Wiązowy. H. Wilczyński z Rawy. F. Malinowski z Bursztyna. J. Deyl z Strzelisk. W. Wołodkowicz z Brzozdowiec. S. Zieliński z Worobijówki.

Lwów. Z Izdy handlowej 2 marca 1889.

	płacą		żądają	
1. Akcje za sztukę bez kuponu bieżącego bez dywidendy:				
Kolej galic. Kar. Lud 200 zł. m. k	204	50	207	50
„ lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a	229	50	232	50
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	289	—	293	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a	—	—	216	—
2. Listy zastawne za 100 złr.				
Banku hyp. galic. 5 prc. w. a.	100	10	101	10
6% Listy zastw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 let.	—	—	—	—
Banku hyp. galic. 5 prc. 10% pr.	103	15	104	15
Banku krajowego 4½% w. a.	96	75	97	75
Tow. kred. galic. 5 „ „ „	100	85	101	85
„ „ „ 4 „ „ „	96	—	97	—
„ „ „ 5 „ „ „	100	85	101	85
„ „ „ 4 „ „ „	93	25	94	50
„ „ „ 4½% ои „	97	80	98	80
„ „ „ 4½% „ „	92	25	93	50
3. Listy dłużne za 100 złr.				
G. Z. kr. wł. ( ) 6½%) 3% w likw.	—	—	57	50
„ „ „ „ (d) 5%) 2½% „	—	—	48	—
4. Obligi za 100 złr.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	50	105	50
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	100	—	101	—
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	104	—	106	—
„ „ „ 1883 4½% „	95	25	96	25
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	22	50	24	50
„ „ Stanisławowa	33	—	35	—
6. Monety.				
Dukat holenderski	5.61		5.71	
Dukat cesarski	5.63		5.73	
Napoleondor	9.56		9.66 —	
Półimperjał rosyjski	9.84		9.94	
Rubel rosyjski srebrny	1·36		1·48	
„ „ papierowy	1·28½		1·30½	
100 marek niemieckich	58 80		59 80	

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 4 marca godz. 1. min. 45.

Akcje kredyt	305·75	Węg. kolej półn. wschodn.	179·50
Alpiny	59·90	Wiedeńskie losy kom.	144·75
Kredyty węg.	312·—	Akcje tyton.	113·50
Anglobanki	133·40	Gal. obl. indem.	104·50
Uniony	238·50	Elbethale	208·—
Ludwiki	205·50	Länderbanki	233·25
Nordbahny	234·50	Renta zł. węg.	102·05
Lombardy	103·25	Bankvereiny	109·80
Losy tureckie	23·70	Renta węg. pap.	94·37
Staatsbahny	249·25	Ruble	1·29·75
Czerniowieckie	232·25		

Usposobienie lepsze.

C. k. jen. Dyrekcja kolei państwowych.

Wyciąg z rozkładu jazdy

ważnego od 1 października 1888.

Przybywają do Lwowa:

1. godz. 15 m. w nocy, z Budapesztu, Ławocznego. Stryja, Krosna, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa, Stryja

8. godz. 6 m. zrana, z Suchej, Chyrowa i Stryja.

8 godz. 20 m. popołudniu, z Suchej, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa, Stryja.

godz. 40 m. wieczór, z Husiatyna.

41)

OFIARA FATALIZMU.

POWIEŚĆ

Ksawerego de Montépin.

(Ciąg dalszy).

— A więc zostaję...

I Jerzy w samej rzeczy zsiadł z konia.

— A tak! ale, — podjął po chwili — zdaje mi się, że im nie śpieszno jakoś otworzyć nam bramę..

W istocie nikogo nie było widać w alei i najmniejszy ruch, najmniejszy odgłos nie zwiastował, aby się zajmowano przybyłymi.

— Biedny Hieronim jest już stary bardzo — odpowiedział Marceli, — a może i niedosłyszy trochę, zwłaszcza też z rana, kiedy jest rozespany. Zadzwonię raz jeszcze i to w taki sposób, że obudziłbym chyba umarłych!..

I dołączając uczynek do słów, porucznik z całej siły pociągnął za dzwonek, który ozwał się głosem chrapliwym i rozstrojonym, w obec których nie ostałby się sen i najtwardszy.

Przeszło kilka sekund jeszcze... cisza niewzruszona zalegała dwór tak samo jak poprzednio.

Marceli i Jerzy zamienili z sobą spojrzenia a wzrok ich poczynał malować niepokój jakiś nieokreślony, nieujęty, którego żaden z nich przecież nie umiałby zdefiniować stanowczo.

— Trzeba jeszcze zadzwonić po raz ostatni, — mruknął porucznik, — a jeśli nikt się nie zjawi, trzeba będzie...

— Cóż zrobimy wówczas? — spytał Jerzy.

— Trzeba będzie wejść do ogrodu przez jaki wyłom w parkanie... Dostać się przyjdzie nam łatwo.

— Czy ten upór nie wychodzenia na nasze przybycie, wydaje ci się naturalnym?

— Nie...

— A więc lękasz się?

— Tak.

— I czego się obawiasz?

— Nie śmiem się przyznać przed samym sobą, ale przeczucia moje są okropne!!

— Antoni, — przemówił Jerzy do swego służącego, — zostaniesz tu u bramy, a gdyby lokaj pana barona przyszedł tu otworzyć, wytłómaczysz mu, że zdziwieni jego opóźnieniem, woleliśmy obyć się bez bramy i wejść, ominąwszy zapory...

— Dobrze, panie...

— Chodź, Marceli...

Obaj młodzieńcy zawrócili i przybyli do jednego z wyłomów, gdzie kilka wiązek chróstu miało dziwną, a wielce nieuzasadnioną pretensję zamykania obcym wstępu.

Marceli puścił się pierwszy i w dwóch rzutach był już u szczytu wiązek chrustowych. Tam zatrzymał się i zamiast zejść na ogród odezwał się do Jerzego, który wstępował za nim:

— Patrzaj, mój drogi...

— Cóż to?

— Czy nie powiedziałby kto, że kilka osób przechodziło tą drogą jak my teraz? Patrzaj na te trzy wiązki chróstu tak oddzielone od reszty... czy nie prawda, że musiały ustąpić pod naciskiem stóp ludzkich?...

— To pyszne przypuszczenie, — odparł Jerzy. — ale nic nie dowodzi, aby było uzasadnionem...

— I oby Bóg dał, by niem nie było — dorzucił Marceli. — Idźmy dalej...

Porucznik i Prowansalczyk skierowali się ku willi pośród drzew rozłożystych tak, że pośród ich liścia widzieli przed sobą zaledwie przestrzeń na kilka kroków odległą. Przerżnęli linią ukośną trawnik, gęsto niską trawą porosły, pośród którego wyższe nieco kępki tworzyły tu i owdzie drobne wysepki zieleni.

Jerzy szedł przodem krokiem pewnym i zdecydowanym. Marceli szedł za nim smutny, zamyślony, z oczyma bezustannie utkwionemi w ziemię.

Nagle Prowansalczyk zadrżał i odwrócił się.

Marceli wydał okrzyk głuchy... zatrzymał się a wzrok jego i postawa wyrażały niemą elokwencją, wzruszenie pełne przestrachu.

— Na miłość boską, — zawołał Jerzy, — powiedz mi prędko, co ci jest!...

Porucznik odpowiedział dziwnym jakimś gestem

Przykląkł na trawniku i począł szukać czegoś w jednej z owych kępek trawy, o których mówiliśmy przed chwilą. Wyciągnął z niej jednę sztukę złota, potem drugą, trzecią i ukazał je swemu towarzyszowi z szeptem:

— O, teraz jestem już pewien aż nadto... nieszczęście jakieś musiało się wydarzyć... jakąś zbrodnię tu popełniono... z pewnością czeka nas jakieś okropne odkrycie...

— Skądże pochodzi ta twoja pewność?

— Czemże innem mógłbyś wytłómaczyć jeśli nie zbrodnią obecność tego złota w tem miejscu? Tylko złodzieje mogli je tak sypać uciekając, nie zadając sobie nawet pracy podnoszenia...

— To prawda... to prawda, rzeczywiście — potwierdził Jerzy, nie znajdując ani słowa na dodanie odwagi przyjacielowi, którego obawy sam podzielał.

— Śpieszmy, — ciągnął dalej Marceli, podnosząc się z ziemi — w niektórych wypadkach a ten do nich należy, niepewność jest gorszą nad wszelkie męczarnie..

Młodzi ludzie poczęli biedz z całych sił ku domowi, do którego schodów omszałych dobiegli niebawem.

Na pierwszy rzut oka drzwi przedsionka zdawały się być zamknięte; były one wszakże tylko przymknięte i ustąpiły przy słabem popchnięciu.

Marceli, za którym towarzysz szedł z wielką już teraz tylko przykrością, wpadł do wnętrza i zwrócił się zaraz ku pokojowi barona, którego drzwi nie lepiej były zamknięte, niż drzwi przedsionka.

Stanąwszy na progu, zatrzymał się i wzrok jego objął jednym rzutem cały pokój... Wtedy wzniósł w niebo złożone ręce i zawołał rozdzierającym głosem:

— A! jam był tego pewien, że się tu stało nieszczęście! O! mój wuju... mój biedny, kochany wuju!

W najbardziej oddalonym kącie pokoju leżał unurzany w strudze krwi trup, nawpół nagi i już stężały barona Labardés. Rana śmiertelna, co się rozwarła dla uchodzącej duszy, była okropną. Gardło było przecięte jednem cięciem noża, wymierzonem z taką siłą, że głowa omal nie odpadła zupełnie od kadłuba. Oczy wciąż otwarte, jeszcze zatrzymały wyraz boleści, przerażenia i trwogi śmiertelnej. Chustka skręcona w powróz związywała usta i służyła zarazem za knebel.

Prawa ręka w zaciśniętych kurczowo palcach zatrzymała kawał odzieży jednego z zabójców, niby ostatnie świadectwo walki bezsilnej starca przeciw katom.

Po za trupem szuflada otwarta na oścież, ukazywała skrytkę, w której rozbójnicy znaleźli dwadzieścia tysięcy franków w złocie.

Marceli padł na kolana przed biednem ciałem skąd życie już zbiegło, okrywał pocałunkami zlodowaciałe policzki, szepcząc pośród łez, co mu biegły strumieniem.

— O, mój wuju... mój drogi wuju... ty coś był tak dobry dla mnie przed kilku zaledwie godzinami... takżem cię miał zobaczyć, tak odnaleść! O! mój wuju, tyś mnie kochał jak ojciec.. ja cię opłakuję dziś sercem syna!... Dlaczegóż nie zostałem przy tobie tej nocy... może narażeniem własnego życia byłbym ocalił twoje!... Bóg tego nie chciał... a teraz nie mam dla ciebie nic prócz łez!

XVIII.
HIERONIM.

Jerzy Herbert pozostawił Marcelego na kilka minut samego u zwłok pana Labardés i pobiegł wydać rozkaz swemu służącemu, aby galopem popędził do pobliskiej wioski i sprowadził co prędzej mera i sędziego pokoju. Następnie powrócił do przyjaciela, którego zastał już spokojnym, ale pogrążonym w niemej a głębokiej boleści.

— Odwagi! — rzekł ściskając jego dłonie. — Odwagi!

— Mam ją, — wymówił półgłosem Marceli — tylko nie przestanę sobie wyrzucać nigdy, żem nie znajdował się w tym domu w chwili zbrodni, której przeszkodziłaby może moja obecność.

— Pojmuję żal twój, ale nie mogę go podzielać, — odpowiedział Jerzy, — ponieważ mam to przeświadczenie, że nie byłbyś ocalił twego wuja, a tylko zginął z nim razem...

— A cóżby to szkodziło? — zawołał młodzieniec — chwała Bogu, ja się śmierci nie lękam...

Potem myśl jego pobiegła do wydarzeń minionej nocy i dodał już po cichu:

— A potem, czyż nie lepiej byłoby dla mnie być umarłym, aniżeli żywym?...

Niezadługo wszakże przybyli obaj urzędnicy, po których pojechał służący Jerzego.

Wiedząc, że chodziło o skonstatowanie morderstwa, zawezwali oni i zabrali z sobą lekarza. Ten ostatni oświadczył, że śmierć barona Labardés nastąpiła przed kilku godzinami i że ze względu na okropną ranę, natychmiastowa nawet pomoc nie byłaby zdołała go ocalić, lub choćby tylko odwlec śmierci bodaj na kilka minut.

— Ale, — ozwał się sędzia pokoju, zanotowawszy to oświadczenie, pan Labardés przecież mieszkał sam?

— Nie, — odpowiedział Jerzy, — miał on przy sobie starego sługę...

Może — ciągnął dalej sędzia pokoju, — może ta zbrodnia popełnioną została przez tego płatnego sługę.

— A! — zawołał Marceli, — nie oskarżajże pan tego biednego Hieronima.. To była wcielona wierność i samo poświęcenie... onby nie był zdolnym do złej myśli nawet...

— W takim razie, cóż się z nim stało?... Czemuż go tu nie ma?

— Skoro go nie ma tu przy panu, musi nie żyć chyba!

— O tem trzeba nam przekonać się natychmiast rewidując dom cały, — ciągnął dalej urzędnik.

I pięciu ludzi, znajdujących się w tej chwili w willi, opuścili razem pokój barona i weszli po schodach, prowadzących na górne piętro.

(C. d. n).

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski** — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.